

POLSKA WALCZĄCA

FIGHTING POLAND ■ POLISH WEEKLY ■ LA POLOGNE EN LUTTE

Wychodzi co tydzień

Londyn, dnia 16-23 kwietnia 1949 r.

Rok XI. Nr 15 16



NA ZMARTWYCHWSTANIE

Zmartwychwstanie Chrystusa jest światem najradośniejszym ze wszystkich światów. Szczególnie dla ludzi i narodów nawiedzanych przez nieszczęścia. Przypomina bowiem, że nie ma zła, które by nie legło bezsilnie u stóp Dobrych. Dobro zawsze zwycięży i zatriumfuje, nawet nad śmiercią.

Kiedy dzwony uderzą w niebo na Zmartwychwstanie Boga-Człowieka, serca żywej zabiją w naszych piersiach i jasność wypelni oczy. Zobaczymy bowiem w tej jasności również obraz zmartwychwstającej Wolności w naszym umęczonym Kraju.

Triumf Ducha nad materią w dniu Zmartwychwstania stanowi wymowny symbol dla naszej niezłomnej wiary w zwycięstwo polskiej Sprawy. Wiara ta jest nie tylko wynikiem pragnień, lecz i pełną świadomością, że nie ma tak ciężkiego grobowego kamienia i nie ma tak potężnej i okrutnej warty, które by mogły powstrzymać siły Ducha umosącego ołtarz w nowej pięknej postaci z mroku niewoli i śmierci.

Ta sama wiara stworzyła nasz Hymn narodowy dyktując słowa „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...”; ta sama wiara kazała nam — żołnierzom opuszczonego przez cały świat zachodni, wytrzymać wszystkie okazy zadane przez wrogów i przysięgać a w chwili, kiedy się zdawało, że już nie ma pozostać prócz rozpacz — otrząsnąć się z oszołomienia pokoleń i zacząć tworzyć nowe szeregi w imię niezmiennie tej samej Idei.

Teraz każdy z nas zdaje sobie sprawę, że jeżeli w krytycznym momencie żołnierz polski nie poszedł w rozpiskę, lecz zaczął się skupiać w stworzoną przez siebie Stowarzyszenie Polskich Kombatanów — to postąpił tak jedynie dzięki temu, że świadomie lub podświadomie nigdy nie zrezygnował z dalszej walki o Ojczyznę i zachował wiarę w zwycięstwo.

Dojrzelśmy już do chwili, w której możemy i powinniśmy wyraźnie stwierdzić, że skupiając się w SPK rzuciliśmy hasło samopomocy nie jako oel sam w sobie, lecz jako wskazanie praktyczne

dla osiągnięcia siły potrzebnej w dalszej walce o Polskę. To wysoce ideowe nastawienie stało się motorem wszelkich tych poczynań w SPK, które przynoszą trwałe korzyści.

Jako każde środowisko ludzkie nasze Stowarzyszenie w dotychczasowych latach rozwoju miało swoje wzloty i obniżenia lotu. Nieraz cel zasadniczy zacierał się w świadomości zaprzątnej kłopotami dnia powszedniego, nagromadzeniem potrzeb i bolączek w życiu na emigracji. Rodziły się tendencje wyłącznego poświęcania się sprawom urządzania własnego życia. Nieraz mogło się wydawać, że jedynie materializm, przyswojony od obcego otoczenia, może przynieść nam korzyści i zadowolenie.

Zwyciężyło jednak słuszne przekonanie, że wszystko to dopóty będzie nas łączyło, dopóki służyć będzie zasadniczo celowi, jakim jest wywalczenie niepodległości Polski. Ci, którzy szukali w SPK tylko zaspokojenia swoich potrzeb materialnych, zawiedzeni odeszli lub z pewnością odeszli od Stowarzyszenia. Kombatan polski to nie petent instytucji charytatywnej, lecz żołnierz, który nie ustaje w walce o wolność, prowadząc ją w każdej formie, jaka mu jest dostępna.

Samopomoc koleżeńska w SPK jest więc naturalnym nakazem zorganizowanych rzesz, które mają przed sobą wyższe cele. Przy takim nastawieniu każdy łatwo zrozumie, że samopomoc to nie tylko — bracie, ale i dawac.

Święto Zmartwychwstania jeszcze bardziej pogłębia w nas wiarę w moc Ducha i świadomość prawdziwego sensu naszych wszystkich poczynań. Droga nasza jest prosta i wyraźna. Podajemy nią wspomagając się na wzajem jak żołnierze w marszu. Ta droga prowadzi do zwycięstwa.

W dniach radosnego święta życzymy wszystkim Kolegom-Członkom SPK i wszystkim Przyjaciółom, abyśmy mogli kiedyś podziękować Bogu za to, że dał nam wiarę w Zmartwychwstanie i że dzięki tej wierze znaleźliśmy właściwą drogę ku wolnej Polsce.



Ministerstwo, którego jeszcze nie ma

Świat zachodni, przyzwyczajony od niepamiętnych czasów do tego, że istnieje albo pokój, albo też toczy się wojna, nie potrafił do tej pory przystosować się do rewolucyjnego faktu, że wytworzył się w świecie stan, który nie jest ani pokojem, ani wojną, a który popularnie zwie się zimną wojną. W rezultacie wszystko dzieje się wedle utartego szablonu. Sztaby i ministerstwa wojny przygotowują się na wypadek wybuchu wojny prawdziwej, która może wcale nie nastąpić. Dyplomaci z Departamentu Stanu, brytyjskiego Foreign Office czy francuskiego Ministère des Affaires Etrangères pracują nad zachowaniem „pokoju”, który nie istnieje. I nie ma nikogo w rządzie amerykańskim, brytyjskim, francuskim itd., którego zadaniem byłoby kierowanie zimną wojną, tak aby ją wygrać.

Zresztą rządy Zachodu — i na tym polega tragedia — nie stawiają sobie dziś za cel wygrania zimnej wojny. Celem jest jedynie nie dopuścić do tego, by się przerodziła w wojnę „krwawą”, lub też przygotować się do tej ostatniej, jeśli nie da się jej uniknąć. Zachód nie uświadomił sobie jeszcze, że jedynym sposobem uniknięcia jej jest właśnie zwycięstwo w zimnej wojnie.

Ostatnio dopiero pojawiły się w prasie brytyjskiej głosy domagające się zwrócenia większej uwagi na to zagadnienie. I może przyjdzie dzień, gdy powstanie w poszczególnych krajach Zachodu „ministerstw zimnej wojny” symbolizować będzie podjęcie wysiłku w kierunku jej wygrania.

WSZYSTKO INACZEJ, NIŻ PODCZAS WOJNY PRAWDZIWEJ

Gdyby mężowie stanu mieli wyobraźnię i nie myśleli kategoriami tego co było wczoraj, to wyposażiliby takiego ministra zimnej wojny w daleko idące uprawnienia. Albowiem problem jest diabelnie trudny; wygranie zimnej wojny wcale nie jest łatwiejsze niż wygranie normalnej. Kto wie, czy nie jest trudniejsze!

Gdy jest wojna, wszystko jest jasne i proste. Narody rozumieją konieczność najdalej idących poświęceń, ograniczeń i wyrzeczeń. Nikomu nie przyjdzie na myśl prowadzić z nieprzyjacielem handlu, dostarczać mu maszyn i surowców. Propaganda w czasie wojny nie ma żadnych zahamowań i granic; jest oczywiste, że się wzywa naród państwa nieprzyjacielskiego do obalenia rządu i skapitulowania.

Londyńska wiosna

Miliony zielonych kulek
Do czarnych pni się tuli —
Wiosna...
Dziwacznie kroczą kominy
Pod niebem sinym —
Wiosna...
W sukienkach murów ogródków
Pełne są smutku —
Wiosna...
W brzozy i czerni topieli
Na sznurach bielizna się bieli —
Wiosna...
Plaszące uderzą głosy
W tętniącej nadzieją niebiosy —
Wiosna...
Ciepłe wiatry u skroni,
Gałęzi rozchylanach dłonie —
Wiosna...

STEFAN LEGEZYŃSKI

wania. Narody ciemnione przez nieprzyjaciela wzywa się do wytrwania w oporze i obiecuje im wyzwolenie; mówi im się, że pomoc nadchodzi.

W zimnej wojnie rzeczy te wyglądają inaczej. Narody, przeświadczone, że skoro nie leje się krew i nie spadają bomby, to panuje pokój, nie chcą wyrzekać się tego wszystkiego, co wiąże się w umyśle ludzkim z pojęciem pokoju. To, co jest łatwe dla dyktatora sowieckiego, jest dla rządu demokratycznego bardzo trudne. Ani w dziedzinie gospodarczej, ani w dziedzinie propagandy nie mogą one w pełni przejąć metod przeciwnika. Ciężko im uczynić z handlu narzędzie polityki, nie umieją wywać do obalenia rządu nieprzyjacielskiego, nie chcą wprowadzać w błąd narody ujarzmione obietnicami im rychłego wyzwolenia.

A jednak pod grozą katastrofy muszą prędzej czy później wypracować plan prowadzenia i wygrania zimnej wojny w ciągu tych niewiele lat, jakie im pozostają.

CEL: ZNISZCZENIE SYSTEMU SOWIECKIEGO

U podstaw tego programu musiałoby być dążenie do zniszczenia imperialnego systemu sowieckiego. Tak długo jak Zachód stawia sobie jedynie cele obronne, dopóki stoi na stanowisku, że dzisiejszego stanu rzeczy na wschód od żelaznej kurtyny nie zamierza ruszać i że „jeżeli Rosji odpowiada komunizm, to jest to jej sprawa” — dopóty o wygraniu zimnej wojny mowy być nie może!

Różne są sposoby działania na rzecz rozkładu systemu sowieckiego. Wystarczy wskazać na to, że propaganda zachodnia musiałaby systematycznie podkreślać zdecydowaną wolę wyzwolenia mas rosyjskich z komunistycznego jarzma, zapewnienia każdemu obywatelowi wolności obywatelskich i praw ludzkich, dania chłopom ziemi itd. Innym narodowościom państwa rosyjskiego — Ukraincom, Białorusinom, Gruzinom itd. — powinnyby propaganda przyrzekać prawo samostanowienia i stworzenia własnych państw.

Wielki wysiłek musiałby być włożony w powodowanie dezercji z armii sowieckiej w Niemczech, Austrii itd. Jeśli do tej pory tysiące żołnierzy rosyjskich zbiegło na Zachód, choć nie miało wielu złudzeń na temat losu, który ich tam czeka, a nawet mogło się obawiać wydania w ręce NKWD, to iluż byłoby zbiegów, gdyby im Zachód ofiarował opiekę, pracę, wolność! Armii sowieckiej groziłby w tym wypadku rozkład i kto wie czy nie musiałaby się wycofać z Europy!

Polityka gospodarcza stojąca na usługach sztabu „zimnej wojny” również wyglądałaby zupełnie inaczej niż dziś. Wprawdzie obecnie nie ma już mowy o handlowaniu z blokiem sowieckim jedynie pod kątem interesów gospodarczych, ale zakazanie wywozu towarów mających znaczenie z punktu widzenia potencjału wojennego nie wystarczy. W gruncie rzeczy trzeba by cały wywóz do Rosji zakazać. Jeśli się nie np. zakazało wywozu tekstylów czy butów, to powiększyłoby się istniejące w tej dziedzinie trudności, zwiększyły fermenty w masach i zmusiło rząd sowiecki do fabrykowania tychże materiałów czy butów zamiast samolotów i dział. W ten sposób utrudniałoby się rozbudowę potencjału wojennego.

ZADANIE RADIA

Propaganda musiałaby obierać nowe śmiałe formy. Niedawno polityk amerykański Stassen proponował, by sa-

moloty amerykańskie zrzuciły ułotki na Rosję, aby dotrzeć do mas. Radio ma w każdym razie ogromne możliwości — BBC i „Voice of America” powinnyby zastąpić w Rosji, w Polsce, na Węgrzech itd. prasę, której tam nie ma. Musiałby w tym celu dopuścić do mikrofonów działacze i publicystów emigracyjnych, którzy by nadawali komentarze z własnego, narodowego punktu widzenia, a nie z punktu widzenia brytyjskiego czy amerykańskiego.

Oto tylko kilka fragmentów programu działania „ministerstwa zimnej wojny”. Możliwości są ogromne. Zadania są przytłaczające. Kiedy przystąpi się do ich realizacji?

ALEKSANDER BORAY

„Wielka niemowa” we Francji

Niedawne wybory kantonalne we Francji zakończyły się, po dwu turach, klęską komunistów, których 37 zaledwie zdobyło mandaty *conseillers généraux*, na 1508 kantonów. Przypominamy, że kampania wyborcza nie toczyła się tym razem na temat budowy dróg czy reformy szpitalnictwa, czy innych spraw interesujących samorządy, ale na temat paktu atlantyckiego, terroru sowieckiego w krajach okupowanych itp.

W 500 kantonach, w których Polacy mieszkają zwartą masą, w 53 kantonach na 100 Francuzów przypada od 10 do 47 Polaków, w których wielu już (naturalizowanych) idzie do urn wyborczych. Czy polski obóz niepodległościowy przyczynił się do tego, aby niekomunistyczny kandydat w tych 1508, a bodaj w tych 500, a nawet w tych 53 kantonach posiadał materiały dotyczące sprawy polskiej, której musiał dotknąć każdy człowiek robiący propagandę wyborczą przeciw komunistom?

Gen. de Gaulle miał niedawno wielką konferencję prasową. Mówiło się wiele o sprawach międzynarodowych, głównie o Niemczech i o Sowietach. Sprawa polska została przez generała potraktowana po macoszemu. To ma oczywiście wolno, ale dlaczego nie było żadnego echa; w konferencji, na miły Bóg, wzięło udział kilkuset dziennikarzy, w tym ponad setkę z prasy międzynarodowej!

KTO POWIE PRAWDĘ?

Kilka dni temu otworzono testament Paderewskiego. 520.000 dolarów ma przypaść Uniwersytetowi Jagiellońskiemu i stowarzyszeniom studentów o charakterze chrześcijańskim. Reżimowy „Konsulat” wyciąga już dziś ciężką łapę po tę wielką, jak na nasze stosunki, sumę. Kto wylumaczy opinii francuskiej, że w obecnych warunkach w Polsce pieniądze te zostaną użyte właśnie dla zwalczania tego, co kochał Paderewski?

Poważny dziennik o wielkim nakładzie „Le Figaro” drukował pamiętniki Churcilla, gdzie nie było wzmianki, że Londynu bronili także i polscy lotnicy. Nikt nie napisał, ani nie spowodował napisania listu do redakcji w tej sprawie.

Przez długi czas szły w Paryżu dwa dobrze technicznie wykonane „polskie” filmy: „La dernière étape” o Ostiewicim i „La vérité n’a pas de frontières” o powstaniu ghetta warszawskiego. Obydwa te filmy widziało setki tysięcy (jeżeli nie miliony) ludzi, a prasa zamieszczała o nich świetne recenzje, omawiając je jako filmy, nie zaś jako akty sowieckiej propagandy. Filmy te w wielu momentach godzą w polskie uczucia na-

rodowe, których nie będzie przecież bronila prasa francuska. Nie znam reakcji ze strony polskiej na żaden z tych filmów.

Gdy rząd gen. Bora podał się do dymisji, półrządowy „Le Monde” zamieścił na ten temat małą wzmiankę (oczywiście pisząc „rząd” w cudzysłowie); przy czym podał jakiś zupełnie fantastyczny skład ustępującego rządu. Żadnego sprostowania, żadnego echa!

INNI NIE ŚPIĄ

Podaliśmy garść faktów, które można by mnożyć w nieskończoność, bo z każdym dniem ich przybywa. We Francji, tym kluczowym politycznie dla naszej emigracji terenie (nie wszystkie sprawy dotyczące Polski rozstrzygają się w Waszyngtonie!); — nie ma ani konstruktywnego wysiłku informacyjno-propagandowego, to jest zdobywania nowych pozycji, nie ma nawet obrony dobrego imienia i interesów politycznych Polski w prasie i życiu politycznym. Jedynie sami Francuzi poruszają w ułotkach i afiszach (np. niedawno afisze o pakcie niemiecko-sowieckim i o zagrobieńiu Polski i krajów bałtyckich), sprawy polskie, oczywiście o ile im to jest potrzebne do celów polityki wewnętrznej.

Ten stan rzeczy zaczyna już oburzać t.zw. „dół”, to jest środowiska robotnicze, które nie rozumieją, dlaczego się nie w tej dziedzinie nie robi, a przynajmniej nie takiego, o czym wiedziaby przeciętny polski emigrant. Na zebraniach organizacji społecznych przedstawiciele tych „dół” zaczyna już coraz natarczywiej pytać, kto jest za to odpowiedzialny. Głosi się bowiem bombastyczne hasła, iż jest zadaniem emigracji mówić do narodów wolnych w imieniu okupowanego Kraju, a nie się na ten temat w praktyce nie robi.

Mają w Paryżu swoje organy prasowe w języku francuskim — gazety, które można kupić lub zaabonować, — i Rumuni, i Węgrzy, i Słowacy — słowem niemal wszyscy z wyjątkiem największej liczebnie i posiadającej największe tradycje emigracji polskiej. Nie można oczywiście brać pod uwagę małego biuletyniku „Pologne”, wydawanego na wpół konspiracyjnie i niedostępnego nawet dla ludzi, którym jest on potrzebny. Inni wydają materiały w obcych językach, a Polacy zajmują się pracownic... Kwiatkowskim i jego „Narodowcem” robiąc mu tym wielki, a zbyteczny honor.

Jakże, na tle tej karygodnej po prostu pustki we Francji, nie przypomnieć o świetnie robionym biuletynie prasowym w dwu językach (fran-

cuskim i niemieckim), jaki ukazuje się na terenie Szwajcarii: „Les Nouvelles de Pologne”. Duszą tej imprezy jest młody Szwajcar dr. Ernst J. Figenmann, prezes „Les Amis de la Pologne Chrétienne”. To stosunkowo niewielkie, ale ruchliwe grono, borykające się z trudnościami finansowymi, stać jest na wydawanie regularnie dwutygodniowego biuletynu.

GDZIE SĄ PRZYJACIELE?

Jakże na tym tle wyglądają nasze towarzystwa polsko-francuskie, lizebne i kierowane przez ludzi stojących wysoko w hierarchii francuskiego społeczeństwa? To jest pytanie, jakie stawia sobie każdy Polak we Francji. I pyta on coraz częściej: „Mielśmy przed wojną taką masę przyjaciół; wielu z nich rząd polski nadał wysokie odznaczenia; gdzie się oni teraz podzieli? Rozumiemy, że mogli nie chcieć występować w sprawie polskiej kiedy we Francji komuniści siedzieli w rządzie, ale dlaczego ich teraz nie widać?

Tak czy inaczej, z winy tych czy innych — polska propaganda niepodległościowa i polska informacja w roku 1949 nie istnieje we Francji. Francuzi nazwali kiedyś armię „La grande muette” — „wielką niemową”. We Francji „wielką niemową” jest nasza informacja polityczna, przeznaczona dla obcych, a więc jeden z zasadniczych celów, dla których pozostaliśmy na obczyźnie.

JERZY JANKOWSKI

Paryż



S.O.



Tu mówi Belgia...

Polskie życie kulturalne

Zagadnienie utrzymania polskości na emigracji ma... dwa końce. Przeważnie utrzymuje się ona sama, naszą indywidualnością, która utrudnia nam aklimatyzowanie się w obcych środowiskach. Nieraz dochodzimy w tym do absurdu, odseparowując się stale i konsekwentnie od naszych (mniej lub więcej chwilowych) gospodarzy.

W Belgii życie nowej, wojennej emigracji skupia się przede wszystkim w Brukseli. Istnieje niemal wstręt do opuszczenia stolicy, osiedlenia się na prowincji, z dala od swoich. Dlatego w Brukseli, poza życiem organizacyjnym, można mówić o polskim życiu kulturalnym. Nie są to tylko dorywcze imprezy, związane z obchodami, czy przyjazdy polskich artystów. Można śmiało mówić o świadomych i planowych poczynaniach w tej dziedzinie. Na pierwszy plan wysuwają się dwie instytucje, które w programie swych prac uwzględniają działalność kulturalną i podtrzymywanie polskości na terenie Brukseli. Jest to Polski Instytut Naukowy i Towarzystwo Pomocy Polakom (Relief Society for Poles).

Polski Instytut Naukowy istnieje tu od roku 1946. W skład jego władz wchodzi szereg znanych osobistości ze świata belgijskiego, ze strony polskiej wice-przewodniczącym jest dr Jerzy Korab-Brzozowski, w rzeczywistości *spiritus movens* akcji instytutowej.

Zadania i prace PIN-u są liczne. Administrowanie funduszami stypendialnymi to tylko mała część. Istotą są poczynania o charakterze naukowym i kulturalnym. Skupienie wokół Instytutu grupy naukowców polskich pozwoliło na zrealizowanie własnego wydawnictwa, w języku francuskim, pod nazwą „Cahiers de l'Institut” („Zeszyty Instytutu”). Wydawane skromnie, techniką powielaczową, zawierają prace wybitnych naukowców polskich, których losy zagnały na emigrację. Do chwili obecnej ukazały się cztery zeszyty, poświęcone zagadnieniom prawnym i filologii klasycznej. Miarą oddźwięku w świecie naukowym są notatki w prasie fachowej, a co za tym idzie — listy, nawet z poza Europy, z prośbą o nadsyłanie wydawnictw Instytutu.

W niedługim czasie ukaze się drugie wydawnictwo Instytutu — „Bulletin Bibliographique”. Zeszyty te będą poświęcone bibliografii prasy polskiej i narodów Europy Środkowej w okresie emigracyjnym. Zebranie odpowiednich danych zostało umożliwione dzięki bogatym zbiorom Instytutu, który gromadzi archiwum różnorodnej prasy emigracyjnej. Biblioteka PIN-u, poświęcona w pierwszym

rzędzie zagadnieniom Europy Środkowej, zawiera już bardzo wiele pozycji.

Osobnym działem pracy PIN-u jest akcja odczytowa. Objęła ona dotąd odczyty naukowców polskich i belgijskich, dotyczące zarówno zagadnień specjalnie polskich, jak i ogólnych. Część tych odczytów była wygłoszona w języku francuskim i pozwoliła naszym gospodarzom belgijskim zapoznać się z naszym dorobkiem naukowym i kulturalnym.

Towarzystwo Pomocy Polakom, prowadzone przez delegata, p. Zaleską, w zasadzie zajmuje się pomocą materialną i opieką nad Polakami w Belgii. Niemniej nie zaniedbuje ono akcji kulturalno-oświatowej. Stwierdzić nawet należy, że coraz bardziej włącza ją w swój program. Biblioteka TPP dostarcza lektury nie tylko Polakom w Brukseli, ale i na prowincji — przez wysyłanie kompletów książek.

Organizowane zostały kursy języka polskiego, historii i geografii dla dzieci polskich, które uczęszczając z konieczności do szkół belgijskich, są pozbawione wiadomości o własnym kraju.

Przed paroma tygodniami otwarto świetlicę TPP pod kierownictwem p. Janiny Brzozowskiej. Ciekawy program sprawia, że świetlica przyciąga coraz więcej osób. Bardzo udatnym przedsięwzięciem jest zorganizowanie Żywego Tygodnika, który cieszy się bardzo dużym powodzeniem wśród miejscowej Polonii.

Obok tych planowych i systematycznych poczyniń, istnieją jeszcze inne przejawy polskiego życia kulturalnego. Poza obchodami rocznic narodowych itp. odbywają się imprezy sporadyczne, jak np. Pastorałka Schillera, wystawiona w okresie świątecznym przez Robotniczą Młodzież Katolicką. Staranne opracowanie, połączenie elementów muzycznych i dekoracyjnych dało interesujące widowisko.

Dorywczo odbywają się też koncerty artystów polskich. Parokrotnie mieliśmy już możność słyszeć utalentowanego pianistę Andrzeja Wąsowskiego. Występy świetnej diseusey Toli Korian, spotkały się z wielkim entuzjazmem i to nie tylko wśród Polaków — znalazły one też przychylny odgłos w prasie belgijskiej.

Tak więc mimo wielkich trudności materialnych, w jakich żyją Polacy w Belgii, mimo zupełnej niepewności losu, mimo poczucia, że właściwie Belgia może być tylko etapem w naszej wędrówce, polskie życie kulturalne istnieje i stale się rozwija.

JADWIGA JURKSZUS

KWIATY POLSKIE



Tam, dokąd dociera wiatr z ojczyzny

WSZYSCY WE FABRYKACH

W Szwecji, która od dawna nie zaznała wojny i w której od 30-tu lat rządzi socjaliści, życie jest tak uregulowane, że na indywidualne pomysły niewiele już pozostaje miejsca. Nadto jest to kraj tak położony, że emigranci polityczni nie czują się w nim zbyt dobrze i prawie wszyscy czekają tylko okazji, by wyrwać się gdzieś dalej, oczywiście na Zachód.

W rezultacie życie Polaków na ziemi szwedzkiej różni się znacznie od warunków, w jakich urządzali się i urządzają Polacy w W. Brytanii. Nie istnieje tam „Stowarzyszenie Polskich Właścicieli Nieruchomości”, nie ma „Związku Farmerów”, nie słychać o polskich przedsiębiorstwach i polskiej inicjatywie gospodarczej. Mur przepisów, brak kredytu i oszczędności a zwłaszcza tymczasowość sprawiają, że Polacy w Szwecji, niezależnie od kwalifikacji, prawie bez wyjątku pracują w fabrykach i żyją z zarobków, które pozwalają na egzystencję, ale na nie ponadto.

Skromna tylko liczba rodaków, którzy przybyli do Szwecji już dawniej, pożenił się ze Szwedkami i weszli głębiej w miejscowe społeczeństwo lub jakimś cudem zarabiają piórem, nie zrywa się o świecie, by podążyć na sygnał syreny fabrycznej. Tacy niekoniecznie mają się lepiej materialnie, ale nieco swobodniej dysponują swoim czasem i nie zabija ich praca fizyczna, która na inne zajęcia niewielki tylko pozostawia margines.

ŻYCIE ORGANIZACYJNE

A zajęć tych jest sporo. Nieliczna (3,500 osób) Polonia szwedzka, która poza trzema większymi skupieniami (Sztokholm, Göteborg, Malmö) rozproszona jest po całym kraju, dźwiga na siebie szereg obowiązków, które wypełniać musi, głównie własną ofiarnością, bo na terenie Szwecji, poza Poselstwem, nie było żadnych instytucji państwowych, które by pozostawiały oszczędności.

Pierwszym obowiązkiem jest okazywanie pomocy tym, którzy ciągle nadpływają z Kraju. Jest to problem serdeczny, ale jednocześnie niezwykle delikatny, ponieważ wśród emigrantów raz po raz zjawiają się agenci Reżymu, którzy podszywają się pod miano uchodźców politycznych, by wkręcić się w szeregi emigracji niepodległościowej i w przyszłości rozpocząć rozsądzanie jej od wewnątrz. Ocena jest niezwykle trudna, ale wielomiesięczne doświadczenie sprawia, że pomyłek jest stosunkowo niewiele. A na tych wszystkich, którzy naprawdę uciekli przed czerwonym terrorem, nieprzerwanym strumieniem płyną pieniądze, pochodzące z licznych zbiorów organizowanych na ten cel.

Drugim ważnym obowiązkiem, który spełniają Polacy w Szwecji, jest pomoc dla Kraju. Ci, którzy go sami niedawno opuścili, którzy zostawili w nim swych najbliższych, czują doskonale wagę tego problemu i nie odmawiają ofiar. W akcji zbórkowej Dnia 19 marca br. z inicjatywy Zarządu Okręgu SPK „Karpacz” odbyła się w Hodgemoor konferencja, w której wzięli udział: księża polscy, pracujący w Okręgu, dyrektor Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w W. Brytanii, Zarząd Okręgu SPK, delegaci Kół SPK i komitetów kościelnych.

Celem konferencji było przestudiowanie obecnej sytuacji w terenie z punktu widzenia polskiego życia religijnego i narodowego.

W wyczerpującej dyskusji zebrani stwierdzili jednogłośnie narastające niebezpieczeństwo odrywania się od kościoła katolickiego i stopniowego wynaradawiania się pewnej części naszego uchodźstwa, w szczególności wielu osób zamieszkałych prywatnie, w rozproszeniu wśród obcego otoczenia, — osób zawierających mieszane związki małżeńskie, oraz młodzieży, uczęszczającej do szkół angielskich, a pozbawionej uzupełniającej nauki polskiej.

Jako przyczynę tego stanu — stwierdzono:

1) Brak dostatecznego kontaktu wiernych z duszpasterzami polskimi, których jest mało i którzy często wprost nie mogą pokonać przeszkód materialnych i technicznych, związanych z trudnościami dojazdów do coraz bardziej rozpraszającej się emigracji;

2) naszą bierność i niedocenianie jej niebezpieczeństwa; narasta ona pod wpływem obcego, przeważnie niekatolickiego, zmaterializowanego otoczenia;

3) wzmogłą agitację komunistyczną szerzoną przez agencje warszawskie, zaszczepiające rozkład wewnętrzny wśród uchodźstwa;

4) brak dostatecznego zrozumienia potrzeby polskiego życia organizacyjnego, obejmującego możliwie wszystkich uchodźców polskich w W. Brytanii;

5) brak odpowiedniej, popularnej i taniej polskiej prasy katolickiej.

Uwzględniając powyższą ocenę sytuacji, zebrani jednogłośnie uchwalili:

W przeciwdziałaniu narastającemu

Polacy w Szwecji

Powierzchnia Szwecji wynosi ok. 449 tys. km kw. [Polska 1939 — 389 tys., Polska 1945 — 311 tys.]. Na obszarze tym mieszka zaledwie 7 milionów ludzi [Polska 1939 — 34 miliony, Polska 1945 — 24 miliony]. Stolica — Sztokholm. Polonia w Szwecji liczy około 3.500 osób.

uczestniczą także i Szwedzi, którzy mają wiele sympatii dla naszego narodu i znają dobrze jego cierpienia. Główna zbiórka na „Sybiraków”, która dała 4.000 koron (około £300) jest doskonałym przykładem.

Wreszcie własne wewnętrzne życie organizacyjne, stanowiące podstawę osiągnięć zewnętrznych.

W Szwecji istniał już dawniej Związek Polaków, który działa i teraz, ale nie gromadzi elementów specjalnie żywotnych. Z organizacji, które powstały po zakończeniu wojny, najliczniejszy jest Związek b. Więźniów Politycznych (500 członków), dalej idzie SPK (300 członków) zbudowane na siatce Oddziału Kół AK, Harcerze i wreszcie Zjednoczenie, które posiada tam członkostwo indywidualne. Najaktywniejsze jest SPK. Całością patronuje Rada Zjednoczenia, rezydująca w Sztokholmie, której prezesem jest b. poseł polski w Szwecji min. Sokolnicki.

METODY PRACY

Tu w Londynie przywykliśmy do niekończących się obrad, których nigdy nie można w przewidywanym czasie zakończyć; głównie dlatego, że ciągle jeszcze posiadamy za wiele wolnego czasu (tu PKPR, tam oszczędności, ówdzie „wolny zawód”). Oczywiście nie na obradach tylko się kończy, ale tak czy siak zabierają nam one wiele czasu, który można by już na samą pracę obrócić.

W Szwecji dzieje się inaczej. Ciężka praca zawodowa, która równa wszystkim, zmusza do szybkich i sprawnych obrad. Trochę traci na tym wszechstronność dyskusji, ale znacznie zyskuje jej jakość. Nie ma popisów krasomówczych, ale i nie słychać takiej demagogii i powtarzania oklepanych frazesów. Nadto całość obrad zyskuje na rzeczowości a czynnik personalny usuwany jest na dalszy plan. Czynnik, który u nas wysuwa się często na plan pierwszy.

PROBLEMY DNIA

Gdy Polaka w Szwecji zapytać, jakie na przyszłość żywi zamiary i co jest jego najbardziej gryzącą troską, odpowiada bez wahania: szukam sposobu jak najszerszego opuszczenia Skandynawii i oderwania się od sąsiedztwa Rosji.

Niestety nie jest to problem łatwy. Niezależnie od wiz, pozwoleń, dokumentów i wszelkich innych formalności zupełnie zasadniczym staje się problem kosztów. Nie ma tam PKPR-u, nie ma bezpłatnego transportu, a naj-

tańszy przejazd np. do Argentyny kosztuje 1000 koron (około £70). W jaki sposób dojść do tego tysiąca, skoro zarobki w fabrykach wystarczają zaledwie na życie a żmudne oszczędzanie może sprawić, że nowe wypadki wypędzą wolno narastający kopecyk pieniędzy?

Innym problemem dnia, który dla wi przed wszystkim młodzieżą, to poszukiwanie pieniędzy na studia. Kto pracuje za robokowo, ten nie ma czasu na naukę, kto nie pracuje, ten nie ma na nią pieniędzy, a źródła „stypendiów” wyschły ostatnio prawie zupełnie.

Szkoda, bo poziom wszystkich uczelni w Szwecji jest b. wysoki i wiele można by było skorzystać.

JAKA BĘDZIE PRZYSZŁOŚĆ?

To są troski codzienne, ale myliłby się ten, kto by przypuszczał, że przesłaniają one polskim „Szwedom” cel zasadniczy, który wyrzucił nas na emigrację brzezi. Bliskość Kraju, ciągły z nim kontakt, żywe niedawne wspomnienia i znaczna świeżość w uczuciach i poczynaniach sprawiają, że Polacy w Szwecji nie ustępują w niczym innym ośrodkom emigracyjnym a nawet często je przewyższają. Zagadnienia przyszłości naszego narodu, zagadnienia idącego świata, w którym musi się znaleźć miejsce dla Polski, zagadnienia metod walki i celów bezpośrednich — są jak najżywsze i jak najgoręcej dyskutowane. Mimo znacznego oddalenia od centrów świata, Polacy w Szwecji zupełnie dobrze orientują się w przebiegu wypadków i w miarę swych możliwości, biorą w nich udział i uczuciowy udział.

Polonia szwedzka stanowi pełnowartościową i świadomą swych obowiązków część polskiej emigracji walczącej.

JÓZEF GARLIŃSKI



Znaczenie religii dla polskości

niebezpieczeństwu należy dążyć do wzmożenia katolickiego i polskiego życia religijnego i społeczno-organizacyjnego wśród naszego uchodźstwa przez:

1) ściśle współdziałanie wszystkich czynników polskich i katolickich, pracujących w danym terenie, w szczególności polskiego duchowieństwa katolickiego, Polskiej Akcji Katolickiej i SPK;

2) wspólne dążenie do ujęcia jak największej liczby Polaków przez uzupełnianie się wzajemnie Kół SPK i Pol. Akcji Kat.; organizowanie komitetów parafialnych dla materialnego zabezpieczenia polskiej opieki duszpasterskiej;

3) współpracę w akcji bibliotecznej, świetlicowo-czytelniowej i kolportażowej, oraz referatowo-odczytowej;

4) dążenie do zapewnienia dla całej polskiej młodzieży emigracyjnej nauki religii, języka, historii i literatury ojczystej;

Życie kombatanckie w Szwajcarii

KOŁO SPK W ZURYCHU

W dniu 4 lutego br. wybrano nowy Zarząd Koła SPK „Zurich” w składzie, kol. J. Rakowski — prezes, St. Domański — wice-prezes, J. Modliński — sekretarz, Z. Kozicki — skarbnik.

Koło zurychskie należy do najruchliwszych na terenie Szwajcarii. Zarząd Koła przewiduje wciągnięcie na członków wszystkich Polaków z Zurychu i okolicy, organizowanie raz na dwa miesiące wieczorów kulturalno-oświatowych, stworzenie samopomocy kołowej, szczególnie w zakresie porad, tłumaczeń listów itp., oraz zorganizowanie kursów języka polskiego dla członków rodzin Kombatantów (żony-Szwajcarki, ew. dzieci). Na ostatnie zebranie Koła w dniu 4 marca przybyło ok. 40 osób.

KOŁO SPK W BADEN

Na walnym zebraniu Koła „Baden” w dniu 18 lutego br. dokonano wyborów nowego Zarządu w składzie: kol. St. Owczarek — prezes, kol. T.

5) utrzymanie stałego kontaktu pomiędzy organizacjami działającymi na tych samych terenach, włącznie do wymiany komunikatów organizacyjnych pomiędzy zarządami i przekazywania ich do wiadomości duszpasterzy;

6) odbywanie wspólnych konferencji dla koordynowania całości prac.

Poza tym zebrani powzięli uchwałę upoważniającą Prezydium Konferencji do wysłania apelu do Redakcji „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” treści następującej:

„Zebrani zwracają się z apelem do Redakcji „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” aby na łamach swego poczytnego pisma zechciała wprowadzić dział, omawiający w formie przystępnej dla szerokich mas uchodźstwa polskiego przejawy życia religijnego i wiedzy religijnej, celem wypuklenia i popularyzowania istotnego znaczenia religii w kształtowaniu ducha narodowego wśród uchodźstwa”.

Kwiatkowski — wice-prezes, kol. T. Orzechowski — sekretarz, kol. T. Leśniewski — skarbnik.

KOŁO SPK „GRIZONIA”

W dniu 30 stycznia br. odbyło się zebranie Koła SPK „Grizonia” przy udziale delegata Zarządu Oddziału kol. T. Sarneckiego, który wygłosił pogadankę na temat „Możliwości emigracyjne i sytuacja Polaków w Szwajcarii”.

Koło SPK w Brukseli

Dnia 21.III.49 odbyło się walne zebranie Koła SPK-Bruksela. Po złożeniu sprawozdań przez ustępującego Zarządu, zebranie udzieliło absolutorium przez aklamację.

Do nowego Zarządu weszli: A. Tarnowski — prezes (powtórnie), W. Drozdowski — sekretarz; członkowie zarządu: Kułaczowski, Sypniewski, Korwin-Piotrowski, Burhardt, Lewandowski. Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej został wybrany A. Zdanowicz, przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego S. Gutowski.

Józef Żywina

JARMARK W CZORTKOWIE

Moja ziemia była zawsze słoneczna. Łąki buchały odwarem mięty. Pola złocili się przepięknym dojrzewającym pszenicą. Moja ziemia była pszeniczna. Słusznie jej się to należało i należy. Niemalże bowiem krwi wsiąkało w nią przez tyle wieków. Jestem ze swojej ziemi dumny i kocham ją tak, jak tylko może kochać chłop o prostej, jak czarnoziem, duszy. Ileż po myśle o swoich stronach, budzi się we mnie zachłanność mojej ziemi podolskiej. Gdy przychodzi mi na myśl tamte okolice, to zawsze widzę głębokie jary, zawiłe wstęgi Zbrucza i Seretu, skaliste brzozy Dniestr, poskupiane wioski najprawniejszych w świecie ludzi, w parciach, po kolanach długich koszałach. Nie zapominam też nigdy o moich miastach, — o Tarnopolu, Czortkowie, Trembowli, Zbarżu, Zaleszczykach i Kopyczyńcach, spod których to miast wyniosłem na świat własną biedę. Nie zapomnę również o Probóźnie i Chorostkowie, zaawansowanych do rangi miast dlatego tylko, ponieważ mieszkali w nich najwięcej Żydów i ponieważ odbywały się w nich najpoważniejsze jarmarki doroczne. Największym jednak jarmarkiem na całej okolicy było Świętopietrze w Czortkowie.

W dniach poprzedzających targi zjeżdżali kupcy podobno z całej Polski i wystawiali na pokaz swoje fatalaszkę. Rozbijano kramy wzdłuż jezdni i na placach. W ślad za kupcami ciągnęli handlarze bydła. Pachciarze jechali na kruchych furmankach, w piętnastu i więcej na jednokonce i byli przeważnie ochrypli i kłóliwi. Potem zjeżdżali się okoliczne mioty, z dokładnymi przemysłowymi planami zajęć. Byli to dolinarze i ludzie żyjący z trzech kart. W kalendarzach ich figurowały wszystkie jarmarki i odpusty. W świecie tym doskonale pamiętano wszystkie miejscowości całego Podola, w których można było sowsie obłowić się na naiwności chłopów.

Potem już jechali ludzie ze wszystkich wsi okolicznych i odległych, aby sprzedawać i kupować, — akademicy, aby organizować bojkot targów, które były przeważnie żydowskie.

Szła już wszystko w swoim porządku: — sprzedawano się, kupowało i bojkotowało. I nikt nikomu mimo wszystko nie przeszkadzał. Było całkiem po angielsku, demokratycznie, a myślnie nie nawet o tym nie wiedzieli.

Czortków był siedzibą mojego gimnazjum. Mieszkaliśmy na wsi, ale na świętego Piotra musiałem być na targach. Ponieważ wozy były obładowane aż trzeszczało, doroczną pielgrzymkę odbywało się pieszo.

Po wschodzie słońca zaczynał się ruch. Dzieciarnia po wsiach przypominała rodzicom o latających balonach, trąbkach i korkowych pistoletach. Jarmark bowiem był także bardzo ważnym dorocznym przywilejem dzieci. Był jeszcze odpust świętego Antoniego w Husiatynie, ale Czortków okniewał wszystko swoją powagą. Poza tym był to przeważnie dzień, w którym sześć, siedmiolatek dziecko wsi po raz pierwszy bywało w mieście.

Na wsi zostawali tylko ludzie starzy i niegrzeczne dzieci.

Nastaly czasy, kiedy na wsi uchodził za poważnego kawalera, jako jeden z nielicznych, którzy uczyli się w mieście. Miałem siedemnaście lat, kiedy po raz drugi na dorocznym jarmarku umówiłem się ze swoją rówieśnicą. Stać mnie było na to.

Wyszliśmy z rana. Po drodze włożyły się sznury furmanek. Ciągnęły się nieskończone łańcuchy pielgrzymów. *Caravaleria rustiana* prowadziła swoje dziewczyny. Po drogach perliły się okrzyki i śmiechy. Dziewczęta przemawiały do prezentów. Chłopcy przyrzekali im wszystko i śpieszyli się, bo w mieście czekały karuzele, huśtawki i kolorowe laszki. Jeśli ktoś nie chciał narazić się swojej wybrance, musiał się zdobyć na wszystko, zaspokoić jej ambicje i nieprzewidywane zachcianki wśród tego kolorowego, ściągniętego z bazaru. Z pomocą w takich rzeczach przychodzili zawsze rodzice wyznaczając doraźny dodatek do kawalerskiego budżetu swojej latorośli, jeżeli przyszła synowa godna była starca.

Nie byłem uprawniony do wzięcia się z żadną narzeczoną — (taki gołowąs, a uczyć się nie laska?) — ale moja pozycja społeczna otwierała przede mną wspaniałe możliwości, a moja wybrana była bardzo wyrozumiała, uważając, że warto pozostać przy nie-

zbyt wygórowanych wymaganiach, biorąc pod uwagę moje ogromnie niastowe obycie. Robilem wszystko aby *zafundować* się. Żyłem w owym czasie układnie z całą rodziną we wsi i okolicy, co pokazywało zwiększało moje możliwości finansowe.

Do Czortkowa schodziło się ze stromego jaru. Miasto leżało w dolinie i widoczne było jak na dłoni, podobne do ogromnego garnca, na którego dnie rozsypane były domy, powykreslane ulice i krzątający się śmiesznie mali ludzie. W powietrzu przewalał się zgiełk i sięgał najwyższych wzgórz. Kiedy patrzyło się na dół, wszystko wyglądało jak kolorowe gnieźło. Kiedy schodziło się jak w niekę między domy, nie słyszało się już nic. Ścisł, krzyk, nawoływania ludzi i porykiwania oszaleńców zwierząt tworzyły płynący bez przerwy grzmot.

Od tej chwili należało się już strzec. Wszystko czekało na człowieka, przybywającego do miasta.

Na błońach porostawiano sprzęt gospodarskiego rodzaju: drabiny, nożyki, wózki, uprząże, plugi. Beczki, wiadra, skrzynie, kufla. Garnki, garnuszki, gliniane misy. A dalej czeresnie, wczesne jabłka i jarzyny.

Batarnia miejska chmarami napadła i żartobliwie straszyla sprzedawców. Spróbowałbyś obrazić się. Zaczyna napastować naprawdę, a wtedy lepiej spakować się i co rychlej wyrwać do domu. Ulicami trudno się przepchać.

Oto jakiś wieśniak uświadamia na kolanie swego wyrostka. Lament delikatnie zwabia rodzicielkę i zaczyna się kłótnia małżeńsko. Rosnie zbogowisko gapiów. Nagle wybucha wrzask, bo właśnie ktoś wyciął żyłkę kieszeni memu sąsiadowi. Wszystkie pieniądze diabli wzięli. Maltretowany przez ojca brzdąc korzysta z okazji i daje nura w tłum. Na pewno będzie poszukiwany przez cały dzień. Wokół nieszczęsnego hucula, któremu wycięto całe plecy w kożuch, wzbiera nowy tłum. Żal mi tego hucula niezmiernie, ale — ktoś widział używać kożucha w taki upał?

Sąsiad ostrzega: „ta kobieta ma *inkluza*”. Nie bardzo wiem, o co chodzi, ale wyjaśnia się, że „*inkluza*”, to taki pieniąż, który ściąga wszystkie pieniądze z cudzej kieszeni do swego właściciela. To jest niewątpliwie sprawa z diabłem. Przychodzi takie niewiniątko i prosi aby rozmiąć srebrną dziesiątkę. Nie przeczuwając nieszczęścia czynisz grzeczność, ale potem, gdy odejdziesz, wszystkie twoje pieniądze leżą weźmie. I nie pomoże ci nikt, ani nawet policja, która na „*inkluza*” nie wyznaje się. Taka baba z „*inkluzem*” była więc i będzie po strachu chłopów, toteż mają się na baczności. Sąsiad mi mówił, że najlepiej taką sprać, zanim zaproponuje transakcję.

Gdzie indziej grają w trzy karty. Gracz przebiega sprytnie kartami. Wokół pełno chłopów. Podpatrują go opanowani chęcią wygranej. Za złote — dwa, za dwa — cztery, za pięć — dziesięć. Któżby nie chciał wygrać? Stawia jeden złotówkę, podnosi kartę — i znowu czysta. Ktokolwiek podniesie — zawsze czysta. Wreszcie przegrany odchodzi, ścigany lamentem swojej baby. Epilog dramatu rozegra się zapewne w domu. Po drodze usiłuje przekonać cały świat, że gdyby nie żona, to by odegrał się na pewno. Po tej całej sprawie nie ma chętnych do zdobycia fortuny. Ktoś z tłumu stawia nagłe piątkę, podnosi kartę: figura. Stawia znowu i znowu wygrywa. Soltysowicz powiada, że to kupiony batiar, na przynętę. Na pewno mówi prawdę.

Do stolika z trzema kartami zbliża się zamożny gospodarz. Wyciąga wór pieniędzy. Będzie stawiał. Ma plik dolarów. Zaczyna od dziesięciodolarówki, a jeśli, mówi, pójdzie nieźle to zagra więcej. Gapiom wylaża oczy ze zdziwienia i ciekawości, karcierz zaciera ręce, a gospodarz powiewając zielonym banknotem uśmiecha się bardzo zadowolony. Grają, chłop stawia banknot i podnosi kartę: figura.

Następuje wypłata wygranej. Karcierz czeka na podwyżkę stawki, ale ten chłop nie daro ma dolary. Pieniądze chowa do kieszeni i dziękuje.

— Akurat tyle na dziś potrzebowałem. Dziękuję wam. — Chce odejść, ale dwóch potężnych drabów zastępuje drogę. Grozą pobiciem, obiecywał przecież grać dalej, jeżeli wygra, a tymczasem złał słowo. Tak nie może być. Na szczęście wkracza policja i gracie porzucając stolik — znikają. Soltysowicz zauważa:

— Bogacz ma szczęście. —

Uroczą Haneckę, soltysówna, moja dzisiejsza przyjaciółka wciąż mnie w tłum.

Wechodzimy na błoń z cyrkiem, ale wycofujemy się natychmiast, bo ona nie może patrzeć jak jakąś podejrzaną dziewczę przesyłają naszkroś autentycznymi mieczami, a inny jakiś oprych zjada prawdziwe szkło. W ogóle zaczyna się historia bardzo kłopotliwa. Do lunaparku nie pójdzie, ponieważ to jej soltysówny, nie uchodzi. Zresztą w ogóle nie może, ponieważ pada ze zmęczenia. Stwierdzam z przerażeniem, że poczy- na sobie ta dzierlatka po miastowemu i proponuję gospode.

Już w wejścia opadają nas cyganki. O, Hanka wie, że dobrze wroży. Niech więc nam otworzą przyszłość. Jej, Hance, przepowiadać czworo dzieci, mój w tym udział jest oczywisty i to w ciekawych okolicznościach (do dziś nie wiem, co to za okoliczności). Następnie Hanka musiała zostać sam na sam z cyganką. Nie wiem co tam było, ale potem, całymi miesiącami opowiadano po wsi, że Hanka dała mi coś wypić. Zdaje mi się, że coś w tym prawdy było, chociaż w czary nie wierzę. Musiałam jednak coś być, skoro ja nie chciałem po wakacjach wracać do szkoły, zdradzając zapal do ożenku. Na szczęście wybito nam to z głowy, perswazją i innymi cudami. Ale Hanka nie mogła odżalować. Spokreśliliśmy się w ogrodach, w krzewach dzikich róż, gdzie oplakiwałam okrutny los.

Ten straszny jarmark dobił mnie nerwowo, ale mimo to było nam bardzo dobrze. Z owej gospody zabrałem Hankę na błoń targowe. Robiliśmy zakupy. Placilem za wszystko i byłam z tego powodu bardzo dumny. A jej się wszystko podobało...

Dzień doszedł wreszcie do kresu sił, kupcy na straganach pochrypli, wabiąc kupujących już tylko na migi. Wszyscy byli zmęczeni i zabierali się do powrotu.

Tłumy wspiwały się pod górę. Dzieciarnia — wszystkie sześciolatki — skrzyła się na ból w nogach. Po polach rozprzestrzeniał się zapach dojrzewających zbóż i rozsuwał się żywiczny oddech świerczyny. Wróciliśmy do domu. Nie wiadomo czemu, poszliśmy z Hanką między, a potem ścieżką. Słońce już dogasało i syłała się gęsta rosa, kiedy znaleźliśmy się w pobliżu domu. Późny dopiero wieczór nas otoczył. Rozmawialiśmy w ogrodzie o wielu rzeczach, na pewno o rzeczach bardzo ważnych. Omijałem starannie sprawy cygańskie, chociaż wiedzieliśmy oboje, że to nam właśnie najbardziej odpowiadało. Aż wreszcie rzekła:

— Józec, wiesz?

— Co?

— Ty nie nie wiesz.

W rzeczy samej nie wiedziałem nic. Ale potem znowu zaczęła:

— Jesteś wstrętny, — patrzyła niecierpliwie w oczy. Nie wiedziałem nic. Głupiałem, mimo siedemnastu swoich lat. Aż wreszcie rzuciła się gorąco:

— Co ci powiem, jesteś z miasta, ale jesteś strasznie głupiutki. Nie mamy już czasu. Trzeba iść do domu. Masz.

Objęła w pośpiechu, wymierzyła pocałunek w usta, a potem nagle uciekła. Przepiórkę klóciły się na miedzach — a ja byłem najwyraźniej urzeczony. Powlokłem się do domu.

* * *

...Ileż po myśle o tych targach czortkowskich, to widzę wszystko, — moje miasto, moich ludzi, cały mój świat, taki serdeczny i taki teraz daleki. Teraz na pewno nie ma tam jarmarków. Na pewno nie ma reja-wachu żydowskich straganarzy. Akademicy nie organizują bojkotów. Chłopcy nie wyjeżdżają do miasta w pysznej bieli parcianych koszał. Dzieciarnia nie czeka na świętopietrowe prezenty. A gdzie są kartograje z trzema kartami? A gdzie baba z „*inkluzem*”? A Hanka?

Hanka dawno wyszła za mąż i miała dwoje dzieci. Męża wywieziono za Ural. Widziałem ją, kiedy cała wieś wyprowadzała mnie z placem z domu, jak zmarłego, ze wszystkimi przepisami, należnymi odchodzącemu na tamten świat.

Plakała po mężu i po mnie. A potem już nie widziałem nikogo. Wszyscy zostali na mojej ziemi — spłakanej i umęczonej.

Przy mojej matce i przy mojej ziemi zostało moje serce.

Koniec



Z K R A J U

CIEMNOŚCI

Problem żarówek w Polsce jest po dawnemu koszmarnym dnia codziennego. Nad rozdaniem tego towaru czuwa cały wielki system kontroli, zakazów i nakazów. Żarówki sprzedawane są tylko w pewnych sklepach rozdzielczych. Nabyć żarówki wymaga uzyskania przydziału, długiego stania w kolejkach i nabyć ją można tylko osobiście.

W liście do redakcji „Dziennika Bałtyckiego” pewien student Politechniki skarży się, że nie może nabyć żarówki, gdyż pracuje w tych akurat godzinach, gdy otwarte są sklepy. Żarówka 15 watawa, którą ma w swoim pokoju, nie pozwala mu na pracę przy kreśleniach technicznych. Student zwrócił się więc do Związku Zawodowego z prośbą o sprowadzenie dla swych członków odpowiedniej ilości żarówek. Związek odpowiedział odmownie, gdyż jak to motywuje, nie ma gwarancji, że student po otrzymaniu od Związku żarówki, nie stanie jeszcze raz w ogonku i nie nabędzie sobie drugiej.

W rezultacie student musi prace kreślarskie wykonywać w ciemnościach.

WYŚCIG O ZAJĄCE

„Dziennik Bałtycki”, ukazujący się w Gdyni podał do wiadomości, że ilość zajęcy w gdańskim okręgu lasów państwowych wynosi 9.646.

Jak złośliwi twierdzą, to dokładne obliczenie zajęcy mogło nastąpić tylko w ustroju, propagującym współzawodnictwo pracy. Istotnie w danym wypadku temu, co policzył wszystkie zajęce, należy się premia.

„BITWA POD GRUNWALDEM”

MATEJKI

W tym roku, w lipcu, w rocznicę bitwy pod Grunwaldem sławny obraz Jana Matejki, wyobrażający to wydarzenie historyczne, zostanie udostępniony publiczności.

Dzieje tego obrazu jak i drugiego p.t. „Kazanie Skargi” Matejki łączą się ściśle z przebiegiem wojny. W pierwszych dniach wojny obrazy te

postanowiono ewakuować. Opakowano je i pod opieką malarzy wieziono na wschód. Transport dotarł do Lublina i dalsza droga okazała się niemożliwą. W Lublinie zginął jeden z malarzy, który te obrazy miał pod swoją opieką. Był to Bolesław Suralo.

Obrazy Matejki najpierw ukrywano w Muzeum Lubelskim, potem gdy Niemcy coraz bardziej zaczęli penetrować w poszukiwaniu „Bitwy pod Grunwaldem”, zostały ukryte w szopie, należącej do taborów miejskich.

AKCJA

Nie chodzi tu rzecz prosta o akcje giełdowe. Chodzi o ulubione słowo rzemu, który stale prowadzi jakąś akcję. Nie chce się pogubić, pozna-kował te wszystkie akcje. Jest więc akcja „H” — hodowlana, akcja „T” — antyalkoholowa, akcja „B”, akcja „S” itd.

Jest również akcja „W”. Jest to akcja, która jeszcze teraz przypomina, bardziej od pomników „wyswobodzicieli”, armię czerwoną. Akcja ta to nie innego jak walka z chorobami wenerycznymi.

Trudno jest ustalić liczbę ludzi w Polsce chorych wenerycznie. Fałszywa wstydlivość niesłuchanie utrudnia nie tylko podobną statystykę, ale i samo leczenie. Według oświadczenia lekarzy, kierujących tą akcją „W” w bieżącym roku ma być zbadanych 600.000 osób. Ta liczba w pewnym tylko stopniu rzuca światło na fakt, jak wielka jeszcze istnieje ilość osób chorych wenerycznie.

STRUMPH-WOJTKIEWICZ PISZE

Znany megaloman Stanisław Stumph-Wojtkiewicz, który to wszystko w czasie wojny widział i wszystkich znał, który Sikorskiemu udzielał rad, drukuje we wrocławskim „Słowie Polskim” nową powieść, poświęconą emigracji w czasie wojny. Ma to być paszkwil, przedstawiający, jak podaje wyżej wspomniane pismo, „klikę by-tych dwójkarzy i spiskowców na życie generała Sikorskiego”.

STAZA

Józef Relidzyński

TRYPTYK

1. ZAMGLONE OKNO

Zamglone okno szpitalne. Za oknem
Jakieś kontury mgliste, cienie jakieś —
Świat nierealny... Nieruchomo młokną
W siąpiącym deszczu rozmazane plaki.
Są jakby czarne kleksy. I daremnie
Wyczytać chciałbyś pisma treść zawitą...
Wszystko jest takie dziwne... Ciemniej, ciemniej...
I dalej, dalej... Może to się śniło?

Zamglone okno szpitalne. Gdzieś w dali
Za górą, morzem świat inny się mieści —
Świat ludzi ponoć zdrowych i normalnych.
Czasem przychodzą od nich, o nich wieści.

Wówczas wskroś mroczne szyby patrzy chorzy
W świat, co kurtyną z mgły jakby przesłonił
Swą tajemnicę — i tak myślą: Boże!
Czy to my chorzy jesteśmy, czy oni?...

2. NARKOTYCZNY UŚMIECH

Nie wiem czy to narkotyk sprawił, uśmiechnięty
Kuszącą bielą proszku, czy uśmiech to sprawił
Narkotyczny twój twarz, księżycowej prawie
W swej błądności, żem zasnął i nic nie pamiętam.

Wiem tylko, że Cię widział w pół-śnie i pół-jawie —
Lunatyczną rusalkę gdzieś z czasu odmětów;
I myślę, że gdy niemoc ostatnia mnie spęta,
Na zabieg — niezawodna lekarka — się stawisz.

Staniesz w drzwiach, srebrna w bieli, jak szpitalna siostra.
Lekko, jakbyś spłynęła księżycową łódką,
Podejdiesz... Znowu nad twarzą moją się rozpostrą,

Niby maska z narkozą, dlonie najtwardsze
I w narkotycznym twoim uśmiechu cichutko
Przycisną me powieki, ale już na zawsze...

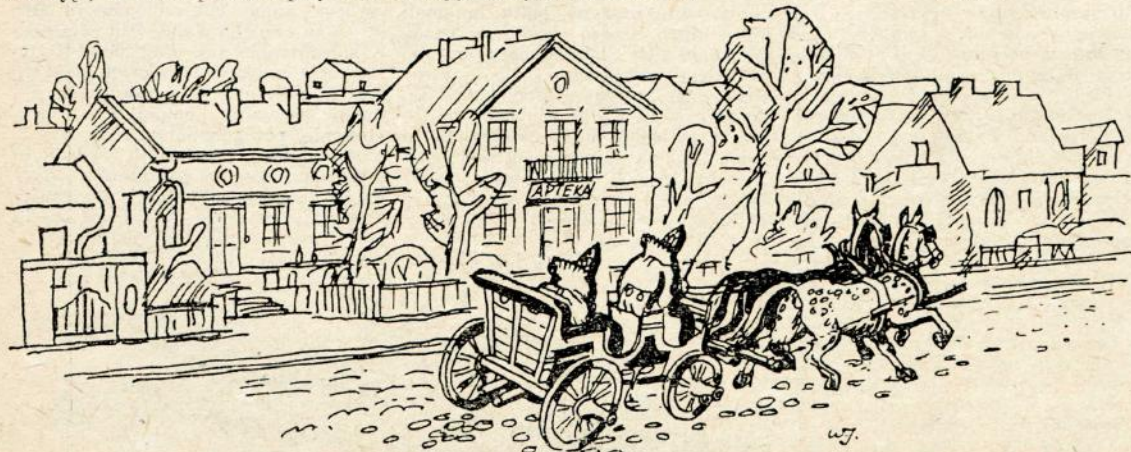
3. ONA

Widzę JA czasem w ciemnym korytarzu
Szpitala, kiedy odgłos kroków tłumię,
W białym fartuchu, z osłoniętą twarzą
Idzie za wózkami z biedną żywą mumią.

Niekiedy znowu, niby siostra nocna,
W obłym półświecie przesuwają się sali,
Staje przy jednym łóżku — gdy się ocknął
Chory, spłoszona jakby, sunie dalej.

W drzwiach się ogląda jeszcze. Księżyc nikt
Mota JEJ włosy, by w sieci pajęcze
Ze srebra... gaśnie... i z NIA razem znika.
Zostaje smutny uśmiech — i nic więcej...

Widzę JA czasem mierzchną godziną —
W okno zagląda we mgły szarych płótnach.
Wiem, że to ONA i wiem, że jest inna:
Jest tylko smutnych braci siostrą smutną...



Warszawa — dziś i jutro

Nie ma Polaka na emigracji, który by nie interesował się odbudową Warszawy, miasta niepokonanego, bohaterskiego, serca serc naszych — tęsknoty naszych tęsknot. Zapewne, wolelibyśmy, aby to dzieło dokonywało się przy naszym udziale, w naszych oczach, pod kierownictwem ludzi, do których mamy pełne zaufanie. Ale to nie upoważnia nas do negacji, do odwracania się tyłem od rzeczywistości, nie zwalnia od serdecznego śledzenia faktów. Warszawę odbudowują Polacy. Odbudowują także dla nas — dla całej Polski.

Odbudowa Warszawy? Czy nie należałoby raczej powiedzieć — budowa? Wiemy przecież z relacji tych, co widzieli, że właściwie Stolica znikła niemal z powierzchni ziemi. W roku 1945 nie można było rozpoznać poszczególnych ulic, a cały teren byłego ghetta stanowił pustynię, gdzie nawet ruin nie było. Nic, absolutnie nic, na czym mogłoby spocząć oko — wielka płaszczyzna nicości z rozsypanymi tu i ówdzie kupkami cegieł.

Dziś jest już zupełnie inaczej. Może nie specjalnie w dzielnicy północnej, gdzie prowadzono dotychczas tylko akcje oczyszczania terenu, ale w śródmieściu, w sąsiedztwie głównych osi komunikacyjnych przechodzących przez miasto. Zaczynamy od traktów wiodących z północy na południe — od wielkiej drogi królewskiej — od Zamku do Belwederu i dalej.

Już dawno chodzą tam tramwaje, autobusy. Jedźnia jest porządną, ruch kołowy bardzo ożywiony. Niektóre gmachy odbudowano. Czekać musi jeszcze swojej kolei Zamek Królewski. Odbudowano tu tylko bramę Grodzką, a w najbliższej przyszłości odtworzony będzie odcinek ściany południowej. Na szczęście udało się ocalić wiele fragmentów i wszystkie plany Zamku.

Szybciej postępują prace na Krakowskim Przedmieściu. Odbudowano całkowicie dawną Poczta Saską przy zbiegu Trebackiej i Kr. Przedmieścia oraz charakterystyczny dla Warszawy budynek Dziekanów przy kościele Karmelitów. Pieniądze na tę rekonstrukcję dał głównie Kraków; zainstalowano tam bursę dla dziewcząt. W r. 1950 Krakowskie Przedmieście będzie już prawdziwą, zdrową ulicą. Z ruin byłego Pałacu Rządcyńskich powstaje w różnym tempie gmach ministerstwa kultury i sztuki. Rekonstrukcja uniwersytetu (Pałac Kazimierzowski), kościoła św. Anny i budowa Akademii Sztuk Pięknych w dawnym pałacu Radziwiłłów — oto wielkie i szybko postępujące roboty na Krakowskim. Będą one zakończone za półtora roku.

Nowy Świat z dnia na dzień staje się coraz bardziej silną przedwojenną, a sytuacja za Al. Sikorskiego jest jeszcze lepsza. Prace prowadzone tu, mają zupełnie inny charakter — chodzi przeważnie o budynki nowsze i nie wymagające studiów konserwator-

skich, łatwiejsze do zastąpienia nowymi formami. Jednocześnie uzupełnia się pałacyki i otoczone ogrodami domy nowymi budowlami. U zbiegu Nowego Świata i Alei 3 Maja powstaje olbrzymi gmach PPR (nie martwmy się zbytnio: gdy komuniści pójdą do kryminalów, budowla przyda się z pewnością na szlachetniejsze cele!). Dalej na południe, u wylotu dawnej ulicy 6 Sierpnia, w głębi, wyremontowany będzie Zamek Książąt Mazowieckich (Ujazdów Górny). W starej Podchorążówce, w Łazienkach, mieści się obecnie t.zw. „Rada Państwa”. Specjalnie ciekawa będzie w przyszłości dzielnica sejmowa, rozwiązywana przez prof. Pniewskiego.

W myśl przyjętej przez urbanistów polskich, zajmujących się odbudową stolicy, zasady „frontem do Wisły”, odsłonięte zostaną i zazielenione tereny Powiśla, a z trasy „Wschód—Zachód”, z balkonów pałaców i pałacików Karowej wzrok będzie sięgał poprzez Pragę aż do linii lasów.

Na odwiecznej drodze królewskiej Zamek — Belweder — znajdują się, (albo już się znajdują) ważniejsze centralne urzędy państwowe oraz przedstawicielstwa dyplomatyczne — słowem będzie to dzielnica reprezentacyjna. Oś tę przecinają dwie prostopadłe osie ze wschodu na zachód.

Pierwsza z tych osi — to Oś Saska, zaczynająca się na Krakowskim Przedmieściu przy ul. Karowej i obejmująca Plac Piłsudskiego, Ogród Saski i Plac Żelaznej Bramy. To piękne założenie urbanistyczne uzyska nowe elementy, realizowane na koszt wojska przez zajmujących się tą częścią miasta architektów Pniewskiego i Gutta. Sady wojskowe na Pl. Saskim są przebudowane, postępuje odbudowa hotelu Europejskiego, uprządkowano krawędzie północną i południową dawnego Placu Marszałka Piłsudskiego, trwają roboty w Pałacu Bruchla (dawnie M.S.Z.). Prawie u wylotu Marszałkowskiej, w okolicach dawnej Giełdy powstanie ministerstwo obrony narodowej, a pałac Lubomirskich pomieszczy muzeum etnograficzne.

Odbudowę terenów na północ od b. Placu Piłsudskiego wzięło na siebie wojsko. Chodzi tu głównie o Operę i Teatr Narodowy. Zarząd Miejski zdecydował odbudować Ratusz na dawnym miejscu, jak również pałac Blanka, była siedziba prezydenta Starzyńskiego. Na południu Oś styka się z dzielnicą banków, której centrum stanowił będzie w przyszłości Narodowy Bank Polski, na Placu Napoleona, a krawiec południowy dawny dom „Pod Orłem” — b. siedziba Banku Towarzystwa Spółdzielczego.

Drużba historyczna oś urbanistyczna ze wschodu na zachód — Oś Stanisławska przebiega ulicą 6 Sierpnia. Początek jej na Szkarpie to Zamek Książąt Mazowieckich, a granicę za-

chodnią stanowią Filtry. W przyszłości ma powstać na tych terenach ośrodek młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej. Tereny dawnego M.S.W. przeznaczone zostały przez urbanistów na siedziby organizacji i zrzeszeń akademickich oraz na pawilony wyższych uczelni, które mają się połączyć z



zabudowaniami Politechniki, S. G. Handlowej i Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

W granicach osi historycznych, w obrębie śródmieścia znajduje się nowoczesne, wielokierunkowe zgromadzenie gmachów ministerialnych, rozpoczynające się na Pl. Trzech Krzyży. Pierwszy gmach — ministerstwa przemysłu i handlu — już jest gotów, a w niedługim czasie dalej na zachód powstaną inne budowle państwowe z ogromnym drapaczem chmur ministerstwa komunikacji przy ul. Chałubińskiego jako słupem granicznym na zachodzie.

Centrum handlowym Warszawy będzie poszerzona ulica Marszałkowska. W praktyce będzie to raczej ogromny rynek, szerokości 120 m. przebiegający od Królewskiej do Złotej i dalej (już węższy), aż do pl. Zbawiciela. Pod tą ulicą ma być zbudowana pierwsza linia kolei podziemnej. Górą będą chodzić szybkie tramwaje z Mokotowa na Bielany — ale dopiero, jak zapowiadają, po 1950 roku.

Dzielnice przemysłowe znajdują się po stronie praskiej — gdzie na Żeraniu, gdyż, jak wykazały studia, większość wiatrów wiejących nad Warszawą ma kierunek z zachodu na wschód i dawne fabryki na Woli zadymiały w sposób potworny stolicę. Wola przyniesie mniej uciążliwy dla mieszkańców przemysł precyzyjny. Już powstaje tam szereg nowych zakładów, a bodaj największym z nich będzie wielki dom prasy na dawnym pl. Kazimierza Wielkiego. Mamy nadzieję, że nie zdąży on szańcować się służbą dla obcych agentów, a jeśli nawet wypuści pewną ilość komunistycznej bibuły, to potem się go wywieści i odda na służbę prawdziwie polskiego słowa.

Wzór dla młodzieży

Kol. dr inż. F. Czarnecki, członek Koła SPK 105 w Glasgowie, został wyróżniony przez Uniwersytet Glasgow i powołany na stanowisko asystenta Wydziału Elektrotechniki. Dr F. Czarnecki jest bardzo szanowany przez tutejszą społeczność kombatancką, ponieważ interesuje się wszelkimi przejawami życia tutejszej Polonii i w miarę możliwości sam bierze udział w jej pracach. Wyróżnienie i osiągnięcia naukowe zdobył on wytrwale pracując, co zasługują na szacunek i uznanie naszego emigracyjnego społeczeństwa.

Dr F. Czarnecki urodził się w Lubelskim w grudniu 1895 roku. Na politechnikę wstąpił w Lwowie, lecz wojna przerwała mu studia. W roku 1918 brał on czynny udział w obronie Lwowa, następnie walczył w kampanii przeciwko bolszewikom.

Dalsze studia odbył w Warszawie, gdzie otrzymał w 1929 roku dyplom inżyniera technika. Po odbyciu praktyki we Francji pracował on na kierowniczych stanowiskach w Wojskowym Instytucie Badań Technicznych, w Dowództwie Floty w Gdyni i Kierownictwie Zaopatrzenia Wojsk Łączności. Jednocześnie wykładał w różnych szkołach technicznych. W czasie ostatniej wojny dr F. Czarnecki w stopniu kapitana (nie miał szczęścia do awansów) pełnił funkcję Szefa Łączności i równocześnie wykładał na rozmaitych kursach wojskowych we Francji i w W. Brytanii.

Po zakończeniu działań wojennych dr F. Czarnecki poświęcił się pracy

A co ze Starówką? — zapyta każdy warszawiak, któremu trafią do rąk te słowa. Zrobiono tam to i owo, ale główne prace jeszcze się nie posunęły naprzód i dopiero od r. 1950 Stare Miasto ma zacząć spełniać przeznaczoną sobie rolę siedziby instytucji o charakterze kameralnym: muzeów (przede wszystkim miejskich), towarzystw naukowych i niezbyt licznych zrzeszeń.

Jeśli chodzi o rozpoczęte już prace, to obejmują one: gotycki kościół N. M. Panny i katedrę warszawską (mury wyprowadzone do dachu). Rynek Staromiejski coraz mniej przypomina teren walk z sierpnia 1944 r.

W planie jest całkowita odbudowa starych murów obronnych wraz z drugą stroną gotyckiego mostu na ul. Mostowej oraz rekonstrukcja wszystkich zabytkowych kamienic. Opracowany już jest wygląd każdego historycznego fragmentu. Odbudowując Dziekanówkę, inżynierowie Stępiński i Kuźma pokazali ile można wydobyc z t.zw. „nieciekawej” architektury, a co dopiero gdy prace obejmą znacznie cenniejsze zabytki. Na razie trwa ciągle jeszcze zabezpieczanie i Stare Miasto musi czekać na swoją kolej.

Dzielnice mieszkaniowe przyszłej Stolicy obejmować będą Śródmieście szerokim pierścieniem. Warszawa przyszłości ma być nie tylko stolicą państwa, ale zarazem samodzielną jednostką urbanistyczną, posiadającą swój własny rejon przemysłowy i centrum handlowe. Trudno ocenić z prasy krajowej czy obecny ruch budowlany zaspakajają potrzeby mieszkaniowe w dostatecznym tempie. Raczej nie, ale coś nie coś się robi.

Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa buduje na Mokotowie dużą kolonię na 10.000 mieszkańców. Podobne, choć mniejsze powstają na Kole, Ochocie, Żoliborzu. W tym roku zarząd Osiedli Robotniczych ma przystąpić do masowych inwestycji mieszkaniowych na Muranowie dla pracowników poszczególnych instytucji. Na ogół przyjęto zasadę, że budowa mieszkań ma postępować w miarę powstawania warsztatów pracy. Już obecnie, gdy na Woli powstaje fabryka, to po drugiej stronie ulicy budowane są mieszkania dla pracowników. Podobnie postępują urzędy: ministerstwa po zbudowaniu własnych pomieszczeń oddają dawne swe budynki na mieszkania dla swoich urzędników.

Na zakończenie tej wiązki informacji spojrzmy jeszcze w przyszłość stosunków komunikacyjnych w Warszawie. Wielki ruch na terenie stolicy odbywa się z zachodu na wschód i z północy na południe. Szlak Północ-Południe będzie realizowany w dalszej przyszłości, główną uwagę poświęca się obecnie, oczywiście ze względów polityczno-strategicznych, szlakom Wschód-Zachód. Dlatego już niedługo zrealizowana będzie trasa W-Z. Już zakłada się stropy tunelu pod ul. Miodową i Placem Zamkowym i układa pierwsze przęsła mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Trasa ta będzie ukończona w bieżącym roku. Również w roku bieżącym zakończona będzie odbudowa mostu kolejowej linii średnicowej, co uzupełni nowym elementem istniejące połączenie obu brzegów Wisły imponującym szlakiem — Aleją Waszyngtona — Most Poniatowski — Al. 3 Maja — Al. Sikorskiego — Al. Jerozolimskie. Po roku 1950 ma otrzymać Warszawa dalsze 5 mostów, m.in. u wylotu ul. Rakowieckiej.

Miejmy nadzieję, że wystarczą obecnie istniejące mosty na odwrót czerwonej armii z Zachodu do Azji.

A. OST.

Wiersze

powstałe z miłości

Ze wszystkich pragnień młodych poetów i pisarzy chyba największym jest: być wydrukowany. Ileż wzruszeń daje pierwszy wydrukowany wiersz, pierwszy reportaż, nowela lub felieton. A już pierwszy tomik po wyjściu z drukarni na długo odbiera przymiotność.

Właśnie skończyliśmy czytać cieniutki, jeśli chodzi o objętość, zbiór wierszy Zygmunta M. Jabłońskiego, p.t. „Kwadręgi w niebo — wiersze niewysłane” (Londyn, 1948). Młody autor tych utworów z pewnością pragnął ujrzeć siebie w druku, na pewno — tak jak wszyscy zresztą — z największym żalem przyjmował odmowy redakcji i wydawców. I jak wszyscy wierzył, że jest objawieniem nowego talentu, że utwory jego muszą i powinny ujrzeć światło dzienne za wszelką cenę. Po wszystkich niepowodzeniach, najcięższej w zapale i oszołomieniu wszyscy młodzi wydają swoje tomiki własnym nakładem i ze wszystkimi błędami młodości.

Wczytując się w czterowiersze Jabłońskiego i w dłuższe, parowrotkowe utwory, wyczuwa się wpływ poetów znanych i uznanych. Jest tu i Mickiewicz, i Słowacki; jest i Tuwim i Gałczyński; i odrobina Słonimskiego. Formą i oryginalnością Jabłoński nie imponuje.

Ma jednak bogaty zmysł obserwacji, jest wrażliwy, unika, choć nie zawsze z powodzeniem, łatwizny i przy tym jest dość śmiały w używaniu wyrażań. Tomik powstał — wyczuwa się to — z miłości do dziewczyny. Poeta w każdej prawie zwrotce oświadcza się, wyznaje swoją miłość i za każdym razem otrzymuje od swej wybranej: „nie”. W wierszu „Intermezzo” poeta mówi:

Ze jak Mickiewicz
Mam ciężkie chwile
I bezlitosną
Piękną Marylę.

Wierzymy, że ma ciężkie chwile. Kto ma dziś lekkie... Ale nie wierzymy, by były takie same jak Mickiewicza i w to, by, np. dla swojej Maryli — z miłości oczywiście — zjadł kawałek gazety. Nie dziwny się, że Maryla ciągle mówi „nie”, bo chce bardziej oryginalnego wyznania. Z czasem, wierzymy, autor „wierszy niewysłanych” pojmie, że trzeba być innym, niż Mickiewicz, innym od wszystkich dotychczasowych poetów. Pisać tak samo lub podobnie — to nie znaczy tworzyć. Pisać również do brze jak Mickiewicz, ale inaczej — to cel i zadanie wszystkich poetów.

Tomik po przeczytaniu pozostawia wiarę, że z czasem i po doświadczeniach skrzepnie pióro. Utwór „Cień” jest chyba najlepszym w zbioru.

CZESŁAW BEDNARCZYK

—O—

„Nowiny Sportowe”

Rada Wychowania Fizycznego i Sportu, 16, Barton Court, Barons Court Road, London, W.14, rozpoczęła wydawanie powielanego pisma, pod nazwą „Nowiny Sportowe”. Nr 1 ukazał się z datą „marzec 1949 r.”

Jest to bodajże pierwsze i jedyne pismo sportowe wśród naszego uchoźstwa. Totż należy też inicjatywę powitać z zadowoleniem, tym bardziej, że pismo wystartowało bez szumnych zapowiedzi i liczy się z realnymi możliwościami i potrzebami.

Jak redakcja stwierdza na wstępie, celem „Nowin Sportowych” będzie informowanie o ciekawych wydarzeniach z dziedziny kultury fizycznej po obu stronach żelaznej kurtyny, służenie akcji POS oraz wzajemne zbliżanie emigracyjnych ośrodków sportowych.

Pierwszy numer przynosi m.in. ciekawe informacje o polskim ruchu sportowym za granicą, w W. Brytanii, Francji, Niemczech, Austrii i USA. Zyczymy „Nowinom Sportowym” pełnego powodzenia.

—O—

Z działalności Polskiej Agencji Prasowej

Już od kilku lat istnieje w Edynburgu Polska Agencja Prasowa, znana ze swej szerokiej i wielce pożytecznej działalności na rzecz Polaków wśród społeczeństwa brytyjskiego.

Na przykład w marcu br. BBC nadała błędna wiadomość, jakoby według sprawozdania Specjalnego Komitetu Budżetowego koszt PKPR miały wynosić sumę 110 milionów funtów. Agencja zwróciła się do BBC z prośbą o sprostowanie tej wiadomości i dostarczenia udokumentowanych danych.

BBC przyznało słuszność Agencji i nadała specjalny komunikat — sprostowanie, powiadamiając słuchaczy, że w rzeczywistości na PKPR wydano 28 milionów i 450 tysięcy funtów. Ogólna bowiem suma 110 milionów zawiera również wydatki na PSZ, w czasie ich służby okupacyjnej w Niemczech i we Włoszech.

B. MARCINEK



Zdzisław Kleszczyński



KSIĄŻĘ

Patrz!

Przez sto dróg, jak sto potoków —
w otoku kurzów, w złotej rdzy,
jak obłok wielki — sto obłoków! —
sąg stalowe, jasne skry;
krańcami wiodą swe widety,
na horyzoncie wielki krąg
półmilionowa ciżba rąk
dźwiga szabliska i bagnety.
A dołem huzy, dołem drżę
w szalonej mocy, w krwawej teży
nabrzmiały wał ciał i uprząży,
poligon armat ciężki, zły.
Zmęczona śmierć z spiżowych paszoz,
jak z czarnej wychyniona studni,
spogląda dzwinnie usmiechnięta,
nad wszystkim wisi kurzu płaszczo,
nad wszystkim pogłos głuchy dudni
i wola tego, co pamięta.

Idą szeregi przed się w kraj:
wiarusy stare i panięta.
Karmieni Europy krwią,
Italii słońcem, bitew rdzą,
sprzągnięci obłąkańczą władzą,
ogromny łańcuch swój prowadzą:
żołnierze, gwardia, bohaterzy,
szereg wyniosły, szereg twardy,
królowie, diuki i bastardy,
wspaniałe, nieugięte lwy!
Szaleńcy!
Chamstwo nie nie warte,
półki nie spojrz na nie — On
Bonaparte.
— Książę. Oslonisz odwrót Armii.
— Sire.
(Hejże! Nie ma dzisiaj śpiwki,
kiedy ułańskie chorągiewki
poległy w boju, w bitwy czas...)
Książę osłoni odwrót Armii.
Lwy — lwią się krwią do syta karmi —
gdzie — bo nie posyłano nas!?

Och! mundur wodza przed wylotem
kul. Żołnierz ściele się pokotem...
Hej, Książę polskiej kawalerii
w nieporównanej galanterii
poszedłś biec się — jeszcze raz!

Książę!

Fortuna się nie lasi...
Zdradzą Francuzi. Zdradzą Sasi.
Ty — byłeś tylko Polski synem:
spryskałeś się z Korsykańinem,
do końca będziesz wiernie stać.

Książę!

Daleko Polska twa...
Kiedyś... złocisty królewiczu,
bawileś strojne grono dam,
Pod Białą byłeś sam, paniezu,
swoją polską sen o polskim zniczu
w puśoźnie przekazałeś nam.
Sam byłeś, gdy różane roje
patrzyły w piękne oczy twoje,
sam byłeś, kiedy Amor błady
pierzochł o poranku niepowrotnie,
bo go przeraził słońca blysk
na rekojęzicy twojej szpady.

Książę!

Daleko Polska twa...
Nim los nam sztańdar w strzępy potnie,
jutro przyniesie krwawy zysk.
Ty potrafiłeś stać do końca.
Książę poznał ci mocne ściegi
krwią. Polak ich dziś nie rozwiąże.
Puchar wypelniał się po brzegi.
Nie będziem pisać ci elegii,

Książę!

Tys między polskie bohaterzy
wszedł i zostaniesz niepowrotnie.
Nie będzie tułać się samotnie
wiatr, o nam powiał od Elstery.
To, co wiatr przyniósł w swoim szumie,
pokocha każdy i zrozumie.

Książę!

Bliższa dziś Polska twa.
Z dalekich krajów i wygładów,
gdy się orłowi ptacy zbiegają,
powstaną stróże, którzy strzegą
Sądów.
Obudzą zmarło Polski woje,
powiedzą gromko imię twoje:
iżes niewolne zmazał błędy,
iżes wyspiewał pieśń uniesień,
iżes rycerzu doskonały,
godzien najwyższej wieków chwały:
Legendy!

Sos wielkanocny

Było to w pierwszej połowie trzeciego dziesiątka naszych lat, ale w którym roku, dokładnie nie pamiętam. W każdym bądź razie Wielkanoc tego roku wypadła bardzo wcześnie. I nie wiem już, dlaczego w czasie tej Wielkanocy było nie dwa, jak zwykle, lecz trzy dni świąt.

Tę okoliczność wyzyskała krakowska dyrekcja PKP organizując w trzecim dniu świąt wycieczkę z pewnego miasta na Śląsk do Zakopanego.

„Narty—dancing—bridż” — tak się nazywały takie pociągi wycieczkowe. (Potem, ale znacznie później, wprowadzono jeszcze i „pociągi w nieznanie”).

Ponieważ impreza ta nie była wówczas dobrze spopularyzowana, władzom kolejowym zależało, aby prasa podawała o niej jak najwięcej szczegółów. Toteż zabiegały o „względy”

Wiem w nadziei na tę współpracę — na prowincji bardzo cenna — zaprosiłem go na darmową wycieczkę. On zaś wybrał się ze swą żoną, kupując dla niej bilet.

Zjawili się w nowiutkich strojach podróżnych i w doskonałych humorach. Wkrótce jednak humor „pani referendarzowej” zepsuł się zupełnie.

W przedziałach było tak samo zimno, jak na korytarzu pociągu. Z tego powodu drzwi naszego przedziału nie były zamknięte. Zważając, że co chwila ktoś wchodził lub wychodził.

Jako redaktor jedynej miejscowej gazety, miałem dużo znajomych. Z

Józef Jastrzębski

była zmartwiona. Nie wiedziała wówczas, że w tym dniu będzie miała więcej zmartwień — i to bardziej realnych.

Przypadkowo znane mi było pochodzenie tych państwa. On był synem właściciela małego sklepu w małym miasteczku małopolskim (nawet nie powiatowym!), ona — córka niższego urzędnika również w Małopolsce.

Wydawać by się mogło, że dzieci z takich rodzin — wybiwszy się na wyższe stanowiska, które dawały im prawo zaliczać się do rzędu przedstawicieli władzy: nie powinny były pragnąć tego uniżonego szacunku dla siebie, jaki okazywać musieli władzy ich rodzice. A jednak — właśnie było inaczej, czego przykładem wymownym była moja „referendarzowa”.

Ale to było dopiero początki zarozumiałstwa i niemal pychy. Po kilku latach mąż jej został wicestarostą. Nie bardzo się na to stanowisko nadawał, ale został! A potem — w pogoni za stanowiskiem starosty — przeniósł się do małego miasteczka powiatowego na Śląsku Zaolziańskim. Obiecano mu bowiem, podobno, że zostanie tam wkrótce starostą.

Otóż pewnego razu spotykam się z „panią starostę” i pytam, jak się powodzi. Skarży się, że są w okropnej dziurze. Na to ja:

— Oplacił się państwu posiedzieć w dziurze, jeśli mąż zostanie starostą. — Pan mówi: jeśli! No, naturalnie że zostanie! Inaczej nie przenosiłby się!

I właśnie: starostą nie został! Żeby zmienić kwaśny nastrój, namówiłem ich na tańce. Poszli na dancing. I bawili się tam dość dobrze, bo zgrabna i dobrze tańcząca pani miała powodzenie.

Zakopane. Słońce i odwilż. Początek wiosny. Ale są jeszcze miejsca z dobrym śniegiem. Trzeba tylko umieć je znaleźć. My jednak nie mieliśmy szczęścia. Zle nas poinformowano. I moi małżonkowie musieli zjeżdżać po podmokłym, a potem na ziarno podmarniętym śniegu. (Ja nie jeździłem na nartach, lecz poszedłem z nimi dla towarzystwa).

Znowu przykre wymówki mężowi, prawie awantura. O co? Powinien był lepiej się poinformować, gdzie dobry śnieg. Nie żałowałem pantoflarza. Takich nie należy — z reguły — żałować.

Po nartach idziemy coś zjeść. U Trzaski przepelnienie. Odchodzi wódeczność i wino. Trzeci dzień świąt! Ktoś mi pokazuje Kornela Makuszyńskiego, siedzącego w większym towarzystwie.

W innych znanych lokalach także nie ma wolnych miejsc przy stołach. Musimy więc zadowolić się skromną jadalnią. Mały, czysty pokój. Upieczna obsługa — właścicielka we własnej osobie. Dobrze, smacznie — jak potem przekonaliśmy się — potrawy. A „pani referendarzowa” na głos, bez żadnego pohamowania się wola, żeśmy przyszli do spelunki, gdzie na pewno „truja”.

Przeklinam siebie w duchu za pomysł zaproszenia na wycieczkę męża tej pani, a na głos wraz z nim staram się ją uspokoić i zapobiec jakiemuś skandalowi. Obawiam się bowiem, że

właścicielka jadalni wybuchnie wreszcie i wyprosi nas ze swego lokalu. A tu nie ma dokąd iść, aby zaspokoić porządny głód.

Kiedy nam podali jedzenie, które było naprawdę wyśmienite, jak się nam — z głodu może — zdawało, wówczas: pani się nareszcie uspokoiła.



Mnie zaś diabli brali! Zważając iż orientowałem się, do czego zdolna jest ta zwariowana kobieta. Musiałem tedy milczeć, dusząc się z pasji.

W pociągu, w drodze powrotnej, oni od razu udali się do wagonu dancingowego, ja zacząłem rozmowy, jak oceniał się na ogół nasza wycieczka. O przykrościach z rana zapomnieliśmy. Pociąg był ogrzany. Wszyscy byli w dobrym nastroju. I posilali się — przy wybitnej pomocy alkoholu — znowu!

Poszedłem popatrzeć, co się dzieje na dancingu.

Pierwsza rzecz — zaczęli mnie zapytać, co to za państwo? Jego bowiem nikt jeszcze nie znał. A interesowali się nim dlatego, że „pani referendarzowa” ofuknęła samą, a za nią i jej mąż — jakiegoś pana, który potrafił ją w tłoku tańczyć.

Zapomnieli widocznie, że na zabawie takie rzeczy są stałe. Zważając zrozumiałe było to w wagonie, który kołysał się w biegu — natłoczony podochocznym towarzystwem do niemożliwości.

Proszę sobie wyobrazić przestrzeń, na której jest niemal w dwa razy tyle ludzi, ile się może zmieścić normalnie. Tańczą niemal na plecach zespołu, który przygrywa — zepchnięty zupełnie w kąt. Krzyk, wrzask, śpiew miesza się z dźwiękami muzyki.

Wśród tego wszystkiego słyszę jakiś dziwny okrzyk: „S-O-S! S-O-S!”



— Cóż to za pomysł, co to znaczy? — myślę sobie. — Wołanie o ratunek?!

I parskam ze śmiechu. Bo pomysł jest istotnie dobry. Kelner, który musi przechodzić przez wagon dancingowy, roznosząc potrawy po przedziałach, w taki sposób straszy tańczących, aby go nie potrącił. Nie zawsze ma sos, lecz wciąż woła: S-O-S!

Ostrzeżenie to stale odnosi skutek. Tańczący starają się zrobić miejsce i wszystko jest w porządku.

Aż tu kelner woła: „S-O-S” w momencie, kiedy „pani referendarzowa” jest przed nim w tańcu.

— Niech pan s a m lepiej uważa! — woła do niego.

Ten nie dosłyszał, co do niego mówią i przystaje. Zrobił to odruchowo i nagle, nie obejrzaawszy się za siebie.

No, i zaczęła się tragi-komedia. Rozpędzona z tyłu para, nie spodziewająca się, że kelner się zatrzyma, wpada na niego i wytrąca mu z ręki sosierkę, pełną sosu! Sosierka zaś polewa sosem nowiutką kostium „pani referendarzowej”...

Czytelnicy już ją — zapewne — widzą. Czerwoną z oburzenia, wściekłą, zięjącą po prostu nienawiścią do kelnera. Lecz i kelner — jakiś warszawiak — nie zostaje w długi. Tak się jej odcina, że aż przykro.

Miesza się do zajścia mąż. Grozi protokołem, policją, sądem. A kelner mu mówi, że zanim do protokołu dojdzie, to tutaj niezwłocznie tak go oporządzi, iż popamięta. Żąda też



zapłaty za sos i stłuczoną sosierkę. Interwieniuje konduktor. Przy pomocy kilku uczestników wycieczki, którzy zająć dokładnie widzieli i potwierdzili, iż winna jest wszystkim „pani referendarzowa” — wpływa na niego referendarza, aby zapłacił. I tamten wreszcie płaci, zapowiadając oddanie sprawy do sądu.

Gdy zobaczyłem sos na kostiumie, zorientowałem się, co się święci, i natychmiast wyszedłem z dancingu. Widziałem bowiem również, że nie kelnera to wino. I dobrze się stało, bo chcieli mnie brać na świadka, czemu się sprzeciwiłem, gdyż „przy awanturze nie byłem”.

A pociąg wiozł nas z powrotem. Lecz nie bardzo się śpieszył. Raz po raz przetrzymywano go na stacji, aby przepuścić pociągi zwyczajne. Postoje ogromnie się podobały tańczącym. Bridżyści też byli zadowoleni. Część jednak jadących narzekała na spóźnienie i wzdychała do domu.

Raptem — w pełnym biegu pociąg zaczął gwałtownie zwalniać. Stanął. — Co się stało?! — wołano zewsząd. — Znowu pastój! I to w polu — dlaczego?!

Po przedziałach zaczynają latać konduktorzy. Szukają, gdzie pociągnięto za hamulec bezpieczeństwa. Bo w Polsce — nie tak, jak na kolejach brytyjskich — hamulec bezpieczeństwa są zaplombowane. Gdy się pociągnięto za hamulec, zrywa się plomba. Łatwo więc stwierdzić, w którym przedziale pociągnięto za hamulec, no i wtedy niemiernie wykręć sprawę.

W naszym pociągu jednak czeka ich niespodzianka, wobec której są bezradni...

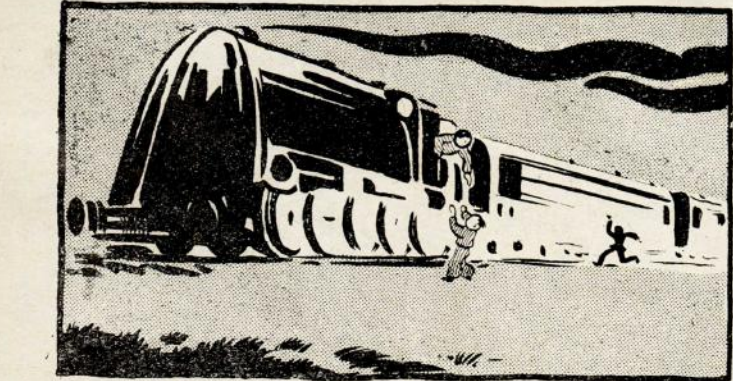
Przedział z zerwaną plombą wkrótce znaleziono. Lecz przedział ten był... próżny. Gdzie pasażerowie stąd?! Na dancingu! Ktoś obej zahamował pociąg. I konduktorzy chcą robić dochodzenia. A pociąg stoi w polu.

Udaje się nam jednak przekonać ich w niedługim czasie, że nie ma rady: trzeba ruszać i jechać dalej, mimo że sprawcy zahamowania pociągu nie odnaleziono.

Podsunałem konduktorom myśl, że sprawcą mógł być ktoś, kto chciał w tym miejscu wysiąść. Więc nie wykryją go, bo to jest niemożliwe. Tak też i przedstawili sprawę władzom.

Dopiero przed godziną 11 w nocy dotarliśmy do swej stacji.

Taka to była Wielkanoc pod hasłem: „Narty—dancing—bridż”.



nie tylko pism dużych, ogólnokrajowych, lecz i pisemek lokalnych, prowincjonalnych.

To było powodem, że i pismo, którego redaktorem kierującym wówczas byłem, otrzymało uprzejme zaproszenie wraz z dwoma biletami na pociąg „Narty—dancing—bridż”. Wycieczka miała się odbyć, jak już powiedziałem, na trzeci dzień świąt wielkanocnych. Wyjazd przed ósmą z rana, powrót po ósmej wieczorem.

W dniu wyznaczonym — wyruszyliśmy. Lecz odjazd nastąpił... o parę minut — wcześniej. Odjeżdżając widzieliśmy kilka osób nadbiegających. Niektórzy wsiadli do pociągu w biegu, a potem zaraz „wsiadli” na Boga ducha winnego konduktora, który kulturalnie tłumaczył im, że nie odpowiada za zarządzenia dyżurnego ruchu.

Jak potem dowiedziałem się dyżurny ten „miał za swoje”. Ci, co pozostali, dali mu szkołę, nie mówiąc już, iż musiał się tłumaczyć potem przed swymi władzami. A idiotyzm ten zrobił dlatego, że nie miał wolnego toru dla pociągu nadchodzącego według rozkładu jazdy (nasz pociąg był nadzwyczajny), nie chciał zaś trzymać go przed semaforem. Zważając że był przekonany, jak twierdził, iż wycieczkowicze wszyscy będą w pociągu na dobrych kilka chwil przed jego odejściem... „Głupich nie sieją”...

Bądź jak bądź — wycieczka rozpoczęła się pod wróżbą, którą uważaliśmy raczej za niepomyślną. Drugim, i to bezspornie niepomyślnym znakiem — było przejmujące zimno: pociąg nie był jeszcze ogrzany.

Z wagonu, przeznaczonego na dancing, rozległy się dźwięki muzyki tanecznej. Wszyscy rzucili się tamtędy... na rozgrzewkę. I ci, co wybrali się na tę wycieczkę z zamiarem potańczenia, i nawet ci, którzy tańczyć pierwotnie nie zamierzali.

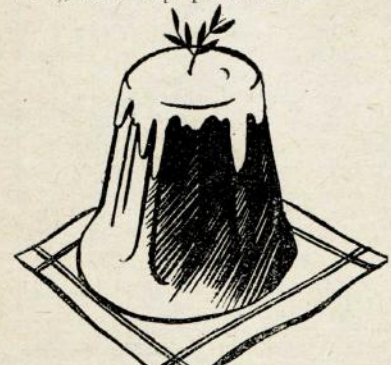
Lecz bridżyści byli bezkompromisowo niezadowoleni. „Jak tu grać, kiedy ręce są zgrzabane! Kostnieją z zimna!” „Niech pan napisze o tej grandzie, redaktorze! Niech ich pan porządnie zjedzie!”

Byłem szczerze zmartwiony. Napisać trzeba będzie bezwzględnie, ale jak to zrobić? Przecież PKP zależy właśnie na reklamie. Ładna więc będzie reklama... Pocieszałem siebie jednak, że „wszystko jest dobre, co się dobrze kończy” — że wycieczka dalej będzie się odbywała w miłym nastroju i zakończy się szczęśliwie, zacierając przykre wrażenia doznane na początku.

Jak już powiedziałem, miałem 2 bilety prasowe. Drugi bilet zaproponowałem pewnemu znajomemu, drugiemu referendarzowi miejscowego starostwa, który niedawno temu został przeniesiony do naszego miasta.

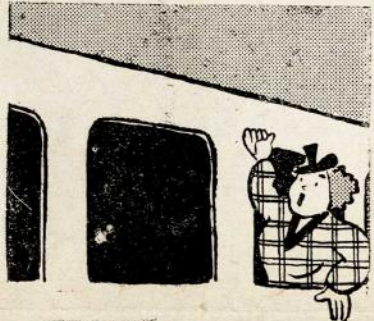
Był to młody jeszcze człowiek — kombinator, jak się później okazało, starający się wkręcić wszędzie. Rzecz naturalna, że i do miejscowego pisma zamierzał wejść, i dlatego zaofiarował mi swą współpracę.

Nie miał w tym kierunku żadnych zdolności. „Wolę żonę drewna rąbać niż napisać artykuł”, oświadczył mi pewnego razu szczerze i otwarcie. Ale na początku chwycił za wszystkie i... „chciał współpracować”.



takim redaktorem wszyscy się znają, bo każdy ma do niego jakiś interes. Społeczny czy nawet osobisty.

Ten chce, aby mu nie robić skrótów w notatce, którą on własnoręcznie opracował dla swej organizacji, pisząc o tym, co trzeba i czego... zupełnie nie trzeba. Tamten znowu coś „b. ważnego” zrobił dla społeczeństwa. Chce, by o tym napisać i nie żałować miejsca. Dużo znajomości miałem dzięki pismu. I dlatego raz po raz ktoś z jadących w pociągu „Narty—dancing—bridż” witał się ze mną lub zamieniał ukłony. A to właśnie okropnie psuło humor „pani referendarzowej”.



wej”. I wreszcie nie wytrzymała. — Władziu! — rzekła do męża. — Panu się wszyscy tak kłaniają, a tobie nie? —

Zdebiłem. A siedzący pod pantoflem małżonek „zapomniał języka w gębę”.

— Proszę panią — odezwałem się po chwili. Nie ma w tym przecież nic nadzwyczajnego. Ja tu mieszkam i pracuję społecznie od 1929 roku, a mąż pani jest tutaj zaledwie sześć miesięcy. Przyjdzie czas, że i jemu będą się kłaniali...

Nie odpowiedziała nic, lecz wyraźnie

Także cywilny zawód

Po pierwsze chciałbym złożyć oświadczenie, że nie jestem przeciwnikiem godziwych rozrywek. Po drugie chciałbym ostrzec, aby nie było nieporozumienia, jak z owym listem naszego kolegi, który nie będąc tegi w angielskim, chciał napisać list do „sweetheart’a” i pod słowem „droga” znalazł w słowniku aż trzy wyrazy: dear, darling, way. Nie wiedząc, który wybrać, zaryzykował „way” i list swój zaczął od „My Way!” (Moja Drogo!)

Tak samo i słowo „zawody” posiada trzy znaczenia. Można z grania na „poolu” uczynić zawód, może nas w grze spotkać zawód i można pójść w zawody o nagrodę z innymi. W naszym wypadku obchodzi nas trzecie zastosowanie tego słowa, chociaż rzeczywistość częściej stosuje drugie.

Wyraz „pool” oznacza złożenie pieniędzy do wspólnej skarbyń lub jak karciarze mówią — do „żydka”. Sens gry leży w tym, że setki tysięcy ludzi wkładają do „poolu”, a tylko jednostki wyciągają coś z niego.

Gra na „poolach” jest pięknym sportem i wysoce podniecającym. Nie, nie pomyliłem się! Tę grę nazywają Brytyjczycy — sportem, a graczy — sportowcami. Co za latwa okazja zostania sportowcem! Proszę sobie wyobrazić, że po wojnie... przepraszam!... chciałem powiedzieć: po pokoju — pytając się nas w Kraju, czy uprawialiśmy jakiś sport w Anglii. — Sure! Grałmy na „poolu”. Pokiwałam głowami i chciałem uchwycić za ludzi światowych nasi znajomi powiedzą: — Tak! Tak! Doskonała gra — zbliziona trochę do golfa.

Był okres, kiedy Kościół Anglikański i Ministerstwo Skarbu wal-

czyły ze sobą zacięcie o to, czy zalegalizować „pool’e”, czy nie. Aczkolwiek Kościół był przeciwny „pool’om”, wszyscy gracze modlili się o jego porażkę. — Zwyciężył Skarb.

Pokusa zostania polskim multimilionerem (w naszych warunkach) — jest wielka. Co tydzień tysiące rodaków zasiada do moźolnego wypełniania krótkich kuponów, co tydzień tysiące czują się bogaczami do soboty, godz. 18.15, aby po odczytaniu wyników pomnożyć reszta biedaków.

Nie wszyscy jednak gracze uświadamiają sobie, że szansę wygrania są znikome. Czasami 1 do 100.000, czasami 1 do 4.000.000. Na nie się przyda tłumaczenie! Większość z nich twierdzi, że gra dla sportu lub przyjemności i nawet ci, którym ręce się trzęsą przy sprawdzaniu kuponu, lubią udawać, że mało im na wygranej zależy.

Zyjemy w wieku postępu — tysięcy wynalazków ułatwiających człowiekowi życie. „Pool’e” też mają swoje ułatwienia. — Nie znasz się na drukmach? — W gazetach są podawane gotowe wyniki i sposoby wypełniania kuponów. — Nie masz czasu? — Nie potrzeba! Są specjalne kluby, gdzie za pewną tygodniową składkę wypełnia się za ciebie kupony.

Wszystko po to, żeby ten biedny człowiek mógł się wzbogacić. Żeby był szczęśliwy!

Nie tylko „pool’e” uszczęśliwiają. Są jeszcze oazy szczęścia na wyścigach koni i psów, a w każdej prawie gazecie niedzielnej znajdziesz inne „zawody” — competitions poświęcone bogini Fortunie. „Fortuna kołem się toczy” (proszę nie

JAN POWERSKI

Z TEATRU

„Wypralem wolność”

Program nr 2 Niebieskiego Balonika, premiera — 3 kwietnia 1949 roku.

Satyra, dowcip, żart, śmiech przez lzy, groteska, piosenka — raz wesoła, raz rozrzucająca: wszystko to mieści w sobie program nr 2 pt. „Wypralem wolność”.

Budzyński przy pomocy Markowskiego pierze, i to zdrowo pierze tych, którzy na wolnej ziemi W. Brytanii mogą korzystać i korzystają z wolności. Lecz „największe” pranie (punkt 8 programu) otrzymują agenci sowieccy w Warszawie — „Bierut i Ska.”

Słowem, program, że tak powiem: o dużej odwadze cywilnej — Budzyńskiego! Oczywiście, jest tu także garść jego talentu, duża pełna garść!

Wykonanie zaś jest oparte na osi — faszystowskiej, ma się rozumieć: Budzyński — Markowski — Rapacki. Gwiazdą „nadszenci” jest Janina

Jasińska, uroczą pieśniarką o ładnym, wyrobionym, silnym głosie. Toteż jej numery, a zwłaszcza „Dla starszych roczników” — wywoływały burzę oklasków. Tola Korian (w programie nr 2 występuje Tola Korian) jest utalentowaną pieśniarką charakterystyczną. Aleksandra Szymanówna ma ładny głos, pewny gest, no i także jest uroczą. Bez komplementów, naprawdę!

Albin Ossowski i Stanisław Kacicki dobrze sekundują „starszym”. Czy są przystojni? — zapytują panie... Owszem! Proszę się zresztą przekonać. Polecam „Mazurki Szopena” — w strojach ludowych.

To by było wszystko. Lecz — nie! „Nosi wilk, poniosą i wilka!” Budzyński popełnia jeden błąd językowy. Nie mówi się: występ-y-wać, lecz — występ-o-wać!

J. Jastrz.

Co zobaczymy podczas Świąt?

Kalendarzyk imprez Konfraterni Artystów w tygodniu świątecznym od 18-go do 24-go kwietnia 1949 r. wygląda następująco:

I. Nadszenci literacko-artystyczna „Niebieski Balonik”.

Program Nr 2, p.t. „WYPRALEM WOLNOŚĆ” w lokalu „Ogniska Polskiego” [55 Princess Gate, Londyn, S.W.7, tel. KEN 2741] w dniach: 18, 19, 20, 23 i 24-go kwietnia

Udział biorą: J. Jasińska, T. Korian, A. Szymanówna, W. Budzyński, J. Markowski, A. Ossowski, S. Kacicki i W. Rapacki.

II. Polski Teatr Dramatyczny.

Nadnowa komedia Niewiarowicza „ZNAJDA” [Rzecz dzieje się współcześnie w Warszawie] pod reżyserią W. Radulskiego.

Udział biorą: J. Gaar, A. Iwanowska, A. Bożyński, Z. Rzewowski B. Urbano-

wicz i B. Doliński.

Przedstawienia odbędą się w dniach: 19 kwietnia w Gr. Boverwood-Hostel k/Slough;

20 kwietnia w Hodgemoor Camp [Hostel] k/Amersham;

21 kwietnia w Wing-Hostel k/Leighton Buzzard;

22 kwietnia w Fairford-Hostel k/Cirencester;

23 kwietnia w Nottingham — sala ang. YWCA;

24 kwietnia w Sturgate-Hostel.

W końcowych próbach sztuka Jerzego Pietrkiewicza „Sami swoi” w reżyserii Leopolda Pobóg-Kielanowskiego.

Obsada: M. Arczyńska, J. Butscherowa, J. Kraszevska, B. Reńska, A. Butscher, J. Bzowski, F. Karpowicz, J. Koczowski, W. Krajewski, W. Modrzeński, R. Ratschka.

Przypominamy o odnowieniu prenumeraty!

Komunikat Polskiego Towarzystwa Mieszkaniowego

Polskie Towarzystwo Mieszkaniowe zostało powołane do życia z zadaniem przysięga z pomocą starszym wiekiem Polakom, zwłaszcza b. żołnierzom PSZ. Zarząd Towarzystwa składa się z reprezentantów Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii, SPK, Towarzystwa Pomocy Polakom i Polskiej YMCA a rozpoczął pracę przy pomocy Inspektoratu Gen. PKPR.

Głównym celem Towarzystwa było znalezienie odpowiedniego miejsca, zorganizowanie Osiedla i zapewnienie mieszkaniom możliwie dobrych warunków egzystencji.

Z wydatną pomocą zainteresowanych wiedz brytyjskich został wybrany na przyszłe Osiedle Mieszkaniowe Penrhos Camp n/Pwllheli, N. Wales, położony w pięknej okolicy nad morzem.

Bieg spraw w chwili obecnej pozwala już Zarządowi przystąpić do realizacji postawionego sobie zadania. Przejście jednak Penrhos Camp i uruchomienie w nim Osiedla oraz rozpoczęcie prac remontowych warunkowane jest zgłoszeniem się kandydatów do zamieszkania w tym Osiedlu.

W tym celu Zarząd Towarzystwa prosi, by wszyscy pragnący zamieszkać w Penrhos nadesłali swoje zgłoszenia do dnia 25 kwietnia 1949 na adres: Polish Housing Society Ltd.

19, Redcliffe Square, London S.W.10. Zgłoszenia te winny zawierać:

1) Imię i nazwisko; 2) wiek; 3) dotychczasowy adres obecny; 4) czy zgłaszający znajduje się pod opieką National Assistance Board i jeśli tak, to wysokość zasiłku i adres urzędu, który ten zasiłek przyznaje; 5) stan rodzinny i czy zgłaszający się zamierza mieszkać z rodziną i z jaką.

Warunki przyjęcia do Osiedla. Ze względu na to, że Osiedle jest głównie dla tych, którzy są niezdolni do pracy, następujące kategorie osób mogą zwracać się o przyjęcie:

a) mężczyźni ponad lat 65;
b) kobiety ponad lat 60;
c) osoby poniżej tej granicy wieku, które z powodu zdrowia lub z innych przyczyn — od nich niezależnych — pracy otrzymać nie mogą.

Żołnierze, będący jeszcze w PKPR, którzy chcieliby zamieszkać w Osiedlu, winni zgłoszenia swoje przelać do Inspektoratu Gen. PKPR. Delamere Camp n/Nantwich, Cheshire. Będą oni musieli zwrócić się do National Assistance Board celem uzyskania zasiłku na opłacenie mieszkania i wyżywienia w Osiedlu. Przyznanie zasiłku uzależnione jest od sytuacji w jakiej znajduje się każdy zgłaszający.

Zarząd Towarzystwa pragnie podkreślić, że Osiedle to będzie można uruchomić przy nie mniejszej ilości zgłoszonych jak 250 osób. Dopiero po nadesłaniu zgłoszeń w podanym wyżej terminie Zarząd będzie mógł podać do wiadomości dane uruchomienia Osiedla, jak również — po uzgodnieniu z National Assistance Board — procedury załatwienia różnych spraw, związanych z przeniesieniem się mieszkańców na nowe miejsce.

Zarząd Towarzystwa wyjaśnia jednocześnie, że tak organizacja jak i administracja Osiedla będą prowadzone przez polskie władze Osiedla. Zgodnie zaś ze Statutem Towarzystwa Mieszkaniowego mieszkańcy Osiedla mogą być członkami Towarzystwa i mieć wpływ na decyzje w istotnych sprawach Osiedla.

ZE SPORTU

SZCZAP — mistrz górników

W pięknie wydanym i rozczytanym przez 10-tysięczny tłum widzów programie tegorocznych finałów Mistrzostw Bokserskich Górników Wielkiej Brytanii wymieniono przy nazwisku E. Szczapa: „Polak startujący w mistrzostwach Armii we Francji i typowany w tym roku na mistrza górników wagi średniej”. Takiej reklamy w programie nie miał nikt, — mimo, że Szczap był jedynym „foreignerem” wśród 16 finalistów, którzy dobiegli do olimpijskiego ringu, największej wymiarami i znaczeniem areny sportowej W. Brytanii: „Empire Pool” w Wembley pod Londynem.

Jadąc na te finały, nie wiedziałem nic o Eugeniuszu Szczapie, polskim bokserze-górniku pracującym na kopalni Welbeck w Warsop (Notts). Zresztą nikt w Londynie o nim nie wiedział. „Dziennik Polski” zamieścił wprawdzie jego fotografię i parę słów, ale tylko na podstawie bardzo skąpych informacji uzyskanych od dyrektora „Empire Pool” organizującego mistrzostwa, Sam Szczap — jako prawdziwy sportowiec — nikomu nie narzucał się z wiadomościami o sobie.

Siedząc w wypełnionej po ostatnie krzesła hali trawilem reminiscencje olimpijskie. Porównywałem. Wtedy — nawet na finałach — nie było tyle publiczności. Nakryty podłoga basen pływaków zamieniono teraz na widownię. Publiczność spokojniejsza niż na Olimpiadzie. Brak krwistych pośladków. Nikt się nie awanturuje. Walki odbywają się sprawnie, bez szedzi na ringu... I nie było wypadku, by rozkaz arbitra nie został natychmiast wykonany przez walczących. Dziwny naród ci Brytyjczycy. Nie lubią się kłócić nawet w sporcie, nawet na ringu!!!

Na widownię — prawie niespostrzeżenie — wszedł książę Edynburgu Filip. Nie wiem, czy na olimpijskich finałach był ktoś z rodziny królewskiej...

Wreszcie walka Szczapa. W finale wagi średniej ma przeciwko sobie mistrza amatorskiego Szkocji. Publiczność jest wyraźnie po stronie Polaka. Reklama programu zrobiła swoje, bo przecież trudno jest przypuszczać, by Polacy, choćby nawet i licznie rozsiadani na widowni — mogli tak rozgrzać 10-tysięczny tłum.

Polak średniego wzrostu blondyn o potężnych barach, zaczyna bardzo spokojnie, jakby ospale... Szkot jest szybszy, atakuje, lecz wkrótce wali się na deski... Pod koniec rundy jest znowu na ziemi, ale wstaje i kończy

rundę na nogach. Publiczność nie szczędzi Polakowi uznania i oklasków. W drugiej rundzie Szczap, ciągle senny, opęda się od ruchliwego Ful-tona. Nagle, jakby niechcący, zaczyna prawą o skraj szczęki przeciwnika i... już po walce! Ledwo Szkota odliczono, Polak podbiega do niego, podnosi, prowadzi do narożnika, cuci, okazuje wiele koleżeńskich, naturalnej życzliwości. To również podoba się publiczności. Znowu dostaje brawa, które potężnieją, gdy Szczap otrzymuje od księcia Filipa gratulacje i puchar za mistrzostwo.

Ale kim jest ten niewątpliwie skromny, o łagodnym, słowiańskim spojrzeniu nowy mistrz górników brytyjskich? Idę za nim do szatni i proszę o wywiad. Odpowiada mi po polsku z wyraźnym cudzoziemskim akcentem, ale mówi raczej dobrze. Ponieważ rozmowa się przeciąga a Szczap musi iść do łazienki — zastępuje go na kilka minut jego młodszy brat Marian, który już się ożenił z Angielką i osiadł w Londynie.

Nowy mistrz ma obecnie 23 lata i za sobą około 30 spotkań, z których przegrał tylko pięć. Wygrał prze-ważnie przez K.O. Na twarzy ani śladu walk bokserkich, natomiast zauważam, że ma złamaną kostkę nadgarstka prawej ręki. Z tą złamaną ręką walczył w całych mistrzostwach, stając się łącznie 7 walk. Na szczęście były w tym 2 walki. Szczap złamał rękę bezpośrednio przed mistrzostwami w 6-cio rundowej walce towarzyskiej z zawodowcem Mickey Laurentem. Opuchnięta dłoń niebyłaby martwą młodość jeszcze entuzjast boks. Słucha wprawdzie z zainteresowaniem rad na temat konieczności przeprowadzenia operacji i wyleczenia ręki, ale nie robi z tego tragedii.

W eliminacjach walczył tylko lewą ręką, a w finale zaryzykowałam prawą i jakoś wyszło... — mówi Szczap. — Nie myślałem o ręce. Bezpośrednio przed walką spałem przez godzinę. Na ring wyszedłem trochę jeszcze senny i dlatego w 1-szej rundzie byłem taki niemrawy. Nie jestem zadowolony z siebie. Technicznie wypadłem fatalnie!

Eugeniusz Szczap jest obywatelem polskim, mimo że rodzice przywieźli go z Kalisza do Francji, kiedy miał 4 lata. We Francji skończył francuską szkołę powszechną, ale w domu mówił wyłącznie po polsku i raz w tygodniu chodził do polskiej szkoły wieczorowej. Boksować się zaczął „od szczepniaka”, ale prawdziwą naukę zaczął

u trenera francuskiego Bougeona, którego wspomina z rozczuleniem.

Podczas wojny walczył w partyzantce, a zaraz po rozpoczęciu inwazji zgłosił się na ochotnika do PSZ. Został natychmiast wysłany do W. Brytanii, gdzie przeszedł pełne przeszkolenie spadochronowe. Razem z Brygadą Spadochronową wyjechał na kontynent, ale już nie zdążył wziąć udziału w akcji. Wojna się skończyła. Był na okupacji Niemiec. Brał tam udział w mistrzostwach wojskowych i wygrywał. Po wycofaniu oddziałów polskich z okupacji przyjechał do W. Brytanii i w ramach PKPR został zdemobilizowany.

Obecnie pracuje pod ziemią jako górnik na kopalni w pobliżu Mansfield. Zarabia, razem z nadgodzinami, £6.10. Mieszka prywatnie u „bokserkiej” rodziny angielskiej, która się nim serdecznie opiekuje. Czuję się doskonale, ale tęskni za rodzicami, którzy go ciągle wzywają do Francji. Nakłaniają również do powrotu sportowi przyjaciele, szczególnie dwaj Polacy Najbor i Kowalski, którzy już zdobywają sławę jako bokserzy zawodowi. Świątek polskiego boks zawodowego we Francji, z Krawczykiem i Walczakiem na czele, jest doskonale znany Szczapowi i... bardzo go pociąga! Uprowadzam go, że dopóki nie wykuruje dokładnie ręki, nie ma czego szukać w boksie zawodowym.

Eugeniusz Szczap jest członkiem SPK i bierze żywy udział w organizowaniu kombatanckiego klubu sportowego. Sam należy do angielskiego Boys Club'u, ale i tam nie ma warunków dla doskonałości się w boksie. Trenuje sam, bez trenera, i dlatego ciągle jeszcze szwankuje technicznie. Wie o tym!

Jest kawalerem, ale o ożenku nie myśli. Kobiety mu nie w głowie — boks pochłania całkowicie czas wolny od pracy. Nie pije, nie pali. Lubi dobrze ubierać się — wszystko co na nim — jest w doskonałym gatunku. Pucharem specjalnie się nie zachwyca. Ma ich — powiada jego brat — pełną szafę! Boks traktuje jako „hobby”. Jest zdziwiony moim pytaniem: „Czy kopalnia idzie mu na rękę w uprawianiu sportu”?

Wszystkim idzie na rękę! — odpowiada. Nie spodziewa się wyróżnienia, nie oczekuje żadnych przywilejów z tytułu mistrzostwa. Boks sprawia mu przyjemność i to wystarczy! Czasu wolnego na treningi ma dość — żeby tylko było z kim trenować!

JÓZEF WŁODARIEWICZ

Uwaga — Czytelnicy we Francji!

W związku z przejściem przez Kombatantów we Francji tyg. „Syreny” został, jak wiadomo, zlikwidowany w „Polsce Walczącej” specjalny dział francuski. Materiał dotychczas w nim zawarty przeszedł na łamy „Syreny”, gdzie ukazuje się w rozszerzonej postaci.

Wszystkich naszych Prenumeratorów we Francji, którzy niezależnie od otrzymywanego tyg. „Syreny”, pragną nadal prenumerować „Polskę Walczącą”, prosimy uprzejmie, aby zechcieli natychmiast zawiadomić o tym bezpośrednio Administrację „Polski Walczącej” w Londynie, pisząc na adres:

FIGHTING POLAND TRUST, 57

EDBROOKE ROAD, LONDON, W.9.

W razie nie otrzymania zawiadomienia do dnia 20 kwietnia br. — przerwie my naszą wysyłkę.

Wszelkie wpłaty na rzecz nowej lub dalszej prenumeraty „Polski Walczącej” z terenu francuskiego należy kierować jak dotychczas na konto: PARIS C.C. 6365-22 — lub na adres Domu Kombatanta w Paryżu: 20 RUE LEGENDRE, PARIS XVII.

Administracja „Polski Walczącej”



POOL

Nasze przewidywania na sobotę dn. 16 kwietnia podajemy poniżej. [Zaznaczamy, że przysięgająca część drużyny w ligach angielskich będzie grała również w dniu poprzednim, tzn. w Wielki Piątek, dn. 15 kwietnia. Toteż nasze przewidywania należy poddać odpowiedniej korekcie uwzględniając formę drużyn, okaleczenia graczy itp.]

WYGRANE GOSPODARZY: Newcastle, Stoke, Brentford, Coventry, Leeds, Tottenham, W.B.A., West Ham, Bournemouth, Ipswich, Notts. C., Reading, Swansea, Doncaster, Hull, Mansfield, Oldham, Rotherham, Celtic, Hibernian, E. Fife, Rangers, Airdrie, Middlesbro, Wallsall.

WYGRANE GOŚCI LUB REMISY: Burnley—Man. Un. x2, Bradford—Chester x2, Cowdth—Hamilton x2, Everton—Arsenal 2x, Lincoln—Q.P.R. 2x, Barrow—Darlington 2x, Albion—Clyde 2x, Morton—Dundee 2x.

BANKIER W POOLACH ZA 1 d.: Middlesbro 1, Wallsall 1, Clyde 2, Arsenal 2.

Będąc w Londynie — odwiedź SKLEP SPK

w DOMU KOMBATANTA, 30, Queens Gate Terrace, London S.W. 7. Posiadamy stale na składzie bieliznę, ubrania, płaszcze, spadochrony, koce, artykuły toaletowe i kosmetyczne, wyroby galanterijne, pióra różnego rodzaju, radioaparaty oraz wiele innych artykułów. Przyjmujemy zamówienia na paczki do Polski, a w szczególności na spadochrony, poczochoy nylonowe, pióra Parker i Hightime, koce i wszelkiego rodzaju lekarstwa.

SPK ODPOWIADA CAŁYM MAJĄTKIEM ZA TWOJE WPŁATY, NIE PONOSISZ ZATEM ŻADNEGO RYZYKA.

KSIAŻKI I PODRĘCZNIKI

oraz druki i pieczątki zamawiaj w kombatanckiej księgarni

CENTRALNA SKŁADNICA KSIĄŻEK SPK

57, Edbrooke Road, LONDON, W. 9.

oraz w jej kioskach w Domach Kombatanta, obozach i hostelach.

Prowadzimy kolportaż polskich czasopism!

PENICYLINA

przesyłką lotniczą

Biała krystaliczna 1 milj. jedn. 17/—

W zawieszinie oleistej 1.250.000 jedn. 18/6

W zawieszinie oleistej 3.000.000 jedn. 39/—

przesyłką poleconą.

Maść penicylinowa 100 gr. . 10/—

Tabletki penicylinowe Oral . 14/6

oraz wszystkie inne leki wysyła do obozów, Polski lub innych krajów.

Mgr. CHROMINSKI.

Apteka J. R. Manson, Chemists Ltd.

101, Leather Lane, Holborn,

London, E.C.1. Tel. HOL. 4488.

Nie czas na celebrowanie smutku.

Krzepmy się humorem i satyrą!

„POKRZYWY”

Jedyny humorystyczny miesięcznik na emigracji.

Do nabycia u kolporterów hostelowych lub bezpośrednio w Administracji:

49, Mill Hill Grove, LONDON, W. 3.

Prenumerata kwartalna (za 4 egz.) sh. 4/6.

UBRANIA £20

Ręczne wykonanie z materiałów własnych. Wykonuje również zamówienia z materiałów powierzonych.

J. STRZELCZYK

7, Cambridge Avenue

London N.W.6 (Kilburn)

Telefon: MAlde Vale 6179

Tylko £5.1.6

CAŁY 24 klinowy SPADOCHRON BIAŁY NYLON (British) czysty, bez stempli wraz z przesyłką poleconą na terenie W. Brytanii.

1 klin — 5/-. Do Polski najmniej 4 kliny. 1 lb. WANILII „THAITY” — 28/6. 20 lasek tejsze na święta pocztą lotn. — 5/6. 1 lb. PIEPRZU czarnego w ziarnkach — 7/6.

Wszystkie paczki z Anglii do Polski wysyłamy do 4 lb. wagi brutto listem polec. Paczka 3/3 extra od 1 lb. brutto. Wkrótce ukaze się nasz cennik rewelacyjnie niskich cen na wszystkie artykuły.

ANGEL TRADING CO.

8, Duncan Terrace City Road, London, N. 1.

Kupując POWOŁUJECIE SIĘ NA OGŁOSZENIA W POLSCE WALCZĄCEJ